◆ 2 października – Dzień Obrony Pokoju i Kultury ◆

# ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V. Warszawa, dnia 2 października 1949 r. Nr 40 (253)

# TRZY GŁOSY W WALCE O POKÓJ

## Z obrad Polskich Komitetów Obrońców Pokoju w dniu 25 września br. w Warszawie

### KAZIMIERZ AJDUKIEWICZ

Zabieram tutaj głos z tytułu mojego zawodu. Jestem mianowicie człowiekiem, który zajmuje się nauką i wydaje mi się, że w tym zespole nie powinno zabraknąć głosu przedstawiciela świata naukowego w sprawie pokoju.

Otóż jest rzeczą nie ulegającą żadnej wątpliwości, że wszyscy ludzie, zajmujący się nauką, gorąco pragną pokoju. Gorąco pragną pokoju z tego powodu, że tylko w stanie pokoju możliwa jest praca naukowa, a inter arma silent musae.

Jak bronić tego pokoju w naszych warunkach, o tym mówił w sposób przekonywający główny referent w przedpołudniowych obradach. Wzmożoną pracą przede wszystkim jeśli chodzi o nasz teren. Wzmożoną pracą, która by uczyniła nas dostatecznie silnymi na to, iżby nikt nie odważył się napaść. Ale nie o tym chcę mówić, jak mamy bronić pokoju, ale chcę mówić o tym, jaki jest jeszcze jeden powód, dla którego ludzie nauki gorąco przyłączają się do akcji pokojowej. Nie tylko dlatego, że bez pokoju nie ma warunków do naszej pracy, ale jeszcze z jednego względu.

Praca naukowa nie jest pracą oderwaną od życia, nie jest pracą w obłokach. Jest częścią składową procesu produkcyjnego. Ludzie, zajmujący się nauką i robotnicy, to nie dwa oderwane światy, z których każdy ma inne zadania przed sobą. My stanowimy jeden organizm wspólny wraz z robotnikami, tylko inna jest nasza rola w procesie produkcji. My obmyślamy sposoby pracy, my dajemy najwyższe, najogólniejsze wskazania jak pracować, jak osiągnąć cel, do którego się dąży. Robotnicy pracują i pomagają im pomysły, zrodzone w głowach wielkich wynalazców i uczonych.

Produkcja uczyniła człowieka potężnym, dała człowiekowi siły, o jakich tysiąc lat temu marzyć nie można było, co mówię, sto lat temu marzyć nie można było. Ta potęga, którą człowiek osiągnął dzięki wytworzonym przez siebie narzędziom, którą człowiek włada, jest w dużym stopniu wynikiem pracy naukowców. Pomyślmy o tej fantastycznej potędze, jaka wiąże się z umożliwieniem wykorzystania tzw. energii atomowej. Nie będę tutaj liczb przytaczał. Wszyscy wiemy co za szalona potęga tkwi w tym wynalazku, zrodzonym w umysłach uczonych. Otóż uczeni dając ludziom potęgę stawiają sobie nieraz pytanie, czy mają prawo to robić, jeśli ludzie tę potęgę wykorzystują dla celów zniszczenia, czy ujarzmienia narodów. Zagadnienie to szczególnie jaskrawo wystąpiło w ostatnich czasach, właśnie wtedy, kiedy ta potęga udzielona przez naukę człowiekowi stała się tak olbrzymia dzięki umożliwieniu wykorzystania energii atomowej.

Otóż właśnie fakt, że nauka daje człowiekowi środki, które można zużyć do dobrego i do złego, skłania wszystkich ludzi zajmujących się nauką do tego, by pragnęli, aby istniała siła, która by uniemożliwiała wykorzystanie wynalazków stworzonych przez umysły uczonych do celów niszczycielskich, aby istniała siła, która by sprawiła, że owoce wysiłków uczonych będą zużyte na dobro a nie na zło. Taką siłą jest akcja, która zmierza do zabezpieczenia, do zapewnienia pokoju. I z tego to głównie powodu wypada mi oświadczyć, że wszyscy ludzie dobrej woli zajmujący się nauką z największym entuzjazmem witają akcję zmierzającą do zapewnienia i utrwalenia nie bylejakiego ale sprawiedliwego pokoju.

Ten nasz akces, tę naszą solidarność z akcją pokojową, zamanifestują instytucje naukowe, a więc uniwersytety i szkoły wyższe w ogóle, w dniu 1 i 3 października w dniach uroczystej inauguracji roku akademickiego, która w tym właśnie roku odbywać się będzie pod hasłem walki o pokój. *(Oklaski).*

*Poznań*

### WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

Proszę obywateli. Chciałem przypomnieć jeden fakt. Dzisiaj 25 września mija 10 lat od chwili, gdy już niemal całkowicie osamotniona stolica Polski, oblężona przez hordy hitlerowskie przeżyła swój pierwszy „krwawy poniedziałek". Na bezbronną ludność Warszawy, na szpitale, szkoły, na zabytkowe pałace, na wszystkie domy posypał się grad bomb niemieckich. Spłonął zamek królewski, płonęły bezcenne archiwa historyczne na uniwersytecie, płonęła Biblioteka Zamojskich, Biblioteka Wojskowa. Na ulicach Warszawy błąkały się bezdomne tłumy, a skwery miejskie zapełniły się świeżymi mogiłami.

Takich „krwawych poniedziałków" miała stolica Polski, a za nią cały kraj, zaznać jeszcze straszliwie dużo. Zmieniły się one rychło w krwawe tygodnie, krwawe miesiące, przybierały groźne i niezapomniane nazwy Oświęcimiów, Majdanków, Treblinek.

Jeżeli dziś akurat w dziesiątą rocznicę tej pamiętnej daty z historii Warszawy zbieramy się tu, my Polski Komitet Obrońców Pokoju, to nie tylko dowód, że o lekcji historii zapominać nie chcemy—to wyraz naszej zdecydowanej, niezłomnej woli, by nigdy już więcej nie powtórzyły się dla naszej ojczyzny „krwawe poniedziałki". To wyraz jednolitej postawy całego dojrzałego społeczeństwa polskiego.

Ten gmach, który nas dzisiaj gości, spłonął we wrześniu 1939 r. i raz jeszcze powtórnie został zburzony w czasie powstania warszawskiego. Jego odbudowa i użyczenie go nam na dzisiejsze obrady, to symbol rzetelnego wysiłku ludu polskiego, by tragiczny rozdział przeszłości zamknąć, by w twórczym wysiłku budować lepsze jutro. Nasz ogromny wysiłek budowy, poczynając od trasy W — Z, a kończąc na wielkim dziele zagospodarowania Ziem Odzyskanych nie jest przeciwko nikomu skierowany, nikomu wojną nie grozi, nie budujemy naszej rzeczywistości ani na ideologii odwetu, ani na żądzy panowania nad innymi. Przeciwnie, wyzbyci kompleksów, jakie stwarzał w narodach system kapitalistyczny, pragniemy rzetelnej, przyjacielskiej i braterskiej współpracy ze wszystkimi. Czteroletnie doświadczenia stosunków z bratnimi narodami demokracji ludowych, a nade wszystko z wielkim sojusznikiem Polski — Związkiem Radzieckim — są dowodem, że dziś, po dokonanych przemianach rewolucyjnych, słowo „braterstwo" przestało być w stosunkach międzynarodowych dyplomatycznym frazesem. Stało się faktem.

I tym się różni zasadniczo sytuacja Polski roku 1949 od roku 1939, że wówczas w chwili najtragiczniejszej zabrakło nam prawdziwych przyjaciół, a dziś ich nam nigdy nie zabraknie. (Oklaski).

Międzynarodowy Kongres w Obronie Pokoju we Wrocławiu, Nowym Jorku, w Moskwie, w Paryżu, w Pradze, w Meksyku, dowodzi ponadto, że sprzymierzeńców i przyjaciół znajdziemy na całym świecie.

Zjednoczeni wokół sprawy obrony pokoju, rozumianego jako prawo do spokojnej i twórczej pracy, a nie jako kapitulacja przed bardziej agresywnymi — jesteśmy dziś silni.

Jeśli jako katolik i działacz katolicki zabieram tu dzisiaj głos, to nie tylko po to, by zamanifestować naszą solidarność ze sprawą pokoju i jego obrony. Zabieram głos także po to, by stwierdzić, że specjalnie ważki ciężar odpowiedzialności za obronę pokoju, za niedopuszczenie do powtórzenia się straszliwych doświadczeń lat minionych — spoczywa właśnie na katolickiej opinii publicznej, na katolickich działaczach tak świeckich jak i duchownych.

Od strony dzisiejszych podżegaczy wojennych, od strony imperialistycznych kół obrońców systemu kapitalistycznego wyzysku—idzie nieprzerwanie potężna fala propagandy, mająca na celu zdobycie sobie cennej pomocy mas katolickich dla swych zbrodniczych zamiarów. Czując własną nicość moralną, świadomi niskości swych pobudek działania — pragną i jawnie to dziś okazują koła międzynarodowego kapitalizmu — osłonić się autorytetem i powagą moralną sprawy katolickiej.

Sprawa katolicka była zawsze sprawą pokoju, a nie wojny, sprawą sprawiedliwości a nie krzywdy. Rola katolików winna być rolą ludzi niosących wszystkim miłość a nie nienawiść. Mimo to—musimy to sobie otwarcie powiedzieć—stwierdzamy ze wzrastającą troską jak sprawa katolicka zostaje nieraz wbrew swej najoczywistej misji, związana ze sprawą podżegaczy wojennych. Widzimy jak część katolickiej opinii publicznej ulega podszeptom propagandy wojennej, jak nieuczciwa argumentacja próbuje wykoszlawić sumienie chrześcijańskie.

Jeśli dziś na czele zachodnich sfer Niemiec staje rząd oparty na kryptohitlerowskich, na jawnie kapitalistycznych i reakcyjnych kołach niemieckich, a na jego czele figuruje nazwisko przywódcy stronnictwa zowiącego się katolickim, jeśli prowokacyjne i agresywne przemówienia tych widm hitlerowskiego Reichu zyskują sobie aprobatę i błogosławieństwo nawet niektórych wysoko postawionych dostojników kościoła — to dowód najlepszy, że świat katolicki stoi w obliczu groźby wypaczenia się jego misji, odejścia od swych ideałów. Grozi mu to, że stanie się nieświadomym narzędziem obcej, podłej, niechrześcijańskiej sprawy.

Nie wystarczy nam modlić się słowami poety: „O rękę karaj a nie ślepy miecz" — lecz musimy dołożyć wszelkich wysiłków, by obcą, szkodliwą rękę oderwać od miecza chrześcijańskiej sprawy. To nasz obowiązkowy wkład w dzieło obrony pokoju.

Nie tylko więc po to zabieram głos w dzisiejszej dyskusji, by oświadczyć naszą solidarność ze sprawą pokoju, naszą gotowość współpracy ze wszystkimi, którzy w imię uczciwie pojętej sprawiedliwości bronią świata i ludzkości przed zakusami imperialistycznych podżegaczy wojennych, lecz i po to, by zapewnić, że świadomi jesteśmy naszego obowiązku walczenia na naszym katolickim odcinku przeciw wszelkim próbom użycia autorytetu katolickiego dla wewnętrznego wzmacniania światowego obozu kapitalistycznego wyzysku.

Nasze miejsce, jako katolików, — jest po stronie postępu i sprawiedliwości społecznej. (Oklaski).

*Warszawa*

### ZOFIA STASIAK

Proszę obywateli! W chwili, kiedy krajowa Narada Komitetów Obrońców Pokoju obraduje bardzo ważne problemy, my kobiety z całej Polski, będące przodownicami społecznymi obradujem również w bardzo wielkiej wspólnej dla nas sprawie, sprawie pokoju. Dlatego w imieniu 39 tysięcy przodownic społecznych Ligi Kobiet całej Polski przesyłam następującej treści depeszę:

„My, przodownice społeczne Ligi Kobiet, zebrane na pierwszej Ogólno-Krajowej Naradzie, przesyłamy wam serdeczne życzenia owocnych obrad. Walka o pokój jest naszą wspólną walką. Zjednoczeni w wielomilionowym obozie walki o pokój nie pozwolimy wrażym siłom imperialistycznym sprowokować nowej rzezi wojennej. Potrafimy jak źrenicy oka chronić tego, co przyniosła nam Polska Ludowa — szczęścia budowania socjalizmu. Potrafimy we froncie bojowników pokoju pod kierownictwem Związku Radzieckiego, twierdzy pokoju i ostoi naszej niepodległości walczyć o postęp, walczyć o pokój, o szczęśliwe jutro naszych dzieci". *(Oklaski).*

Proszę obywateli! Sprawa pokoju leży naszym kobietom polskim na sercu tak samo jak i wam wszystkim. I my kobiety nie chcemy stać biernie, my kobiety polskie chcemy wraz z wami przyłączyć się do wspólnej wielkiej walki o wielki nasz wspaniały pokój. I dlatego wyłoniliśmy spośród kobiet najbardziej świadomych przodownice społeczne. Przodownice społeczne mają właśnie za zadanie stałe pogłębianie wielkiej walki o pokój. I dlatego ten pierwszy krok, to pierwsze posunięcie przodownic społecznych wysunęło na pierwszy plan miasto Kraków.

Miasto Kraków w dniu 1 maja dało nam 5 tysięcy agitatorek, które przedstawiły szerokim masom kobiecym, jakie cele, jakie zadania na pierwszy maj, święto, które było olbrzymią manifestacją w walce o pokój. I dzisiaj realizujemy to w dalszym ciągu. Nie pozostajemy w tyle. Dzisiaj już mamy w całej Polsce 39 tysięcy przodownic społecznych. Nasze przodownice społeczne docierają do najszerszych mas kobiecych, docierają przez ekipy na wieś, docierają do gospodyń domowych, docierają do tych domów, gdzie jeszcze kobiety nie otrząsnęły się z naleciałości wiekowych, gdzie kobiety nie rozumieją tego co odczuwa ta kobieta, która przeszła straszną gehennę wojenną. Nasze matki polskie, nasze chłopki nie chcą już wojny. Nasze chłopki nie zapomniały jeszcze ostatniej strasznej wojny. Nasze kobiety polskie jeszcze nie mają zabliźnionych ran, jeszcze nie obeschły im łzy z oczów, dlatego nigdy nie dopuszczą do wojny. *(Oklaski).*

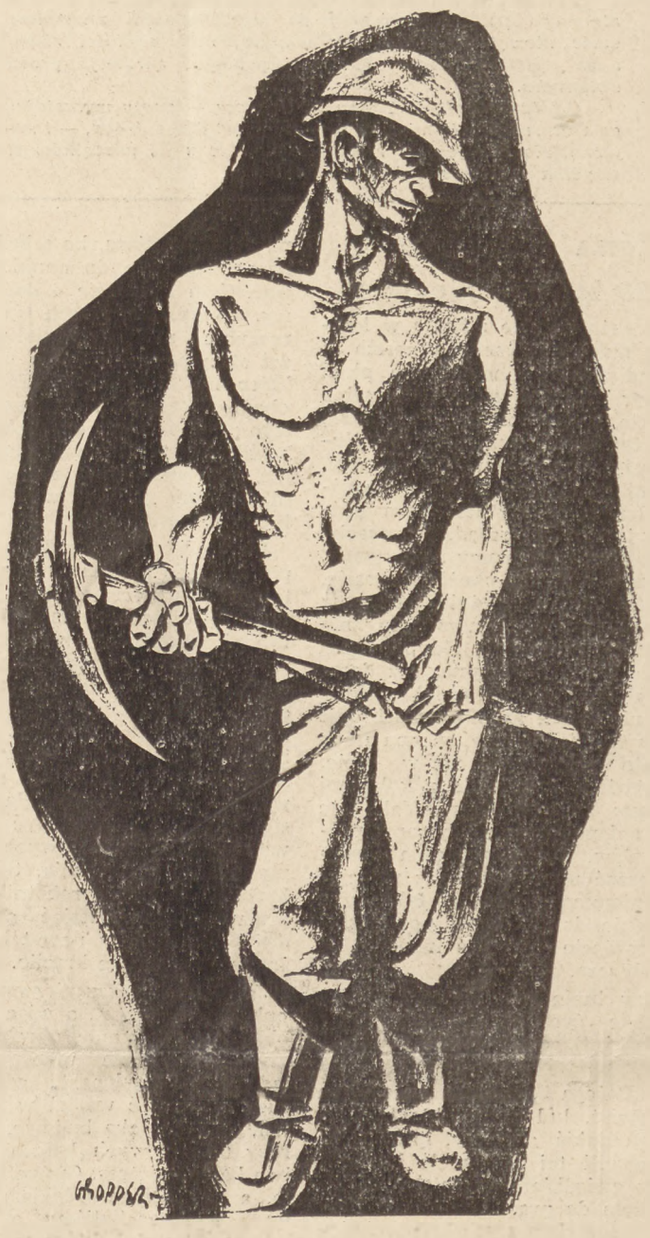

*rys. William Gropper*

Liga Kobiet wraz z przodownicami społecznymi w trzecim etapie współzawodnictwa, którego naczelnym hasłem jest walka o pokój, połączona z czynem lipcowym, dała nam już pewne rezultaty. Podam tu kilka cyfr, które wam wskażą, co już kobiety przodownice społeczne zrobiły w walce o pokój. Godzin pracy akcji żniwnej dały kobiety 300 tysięcy. Gospodynie domowe na rzecz odbudowy kraju dały 2.755.000 godzin pracy. Liczba nowych kół ligowych, terenowych wzrosła o 474. Liczba nowych kół ligowych przy zakładach pracy wzrosła o 417. Liczba nowych kół gospodyń wiejskich wzrosła o 1.512.

Akcja ta jednak w dalszym ciągu trwa. Akcja ta nie jest zakończona. Teraz nasze kobiety, kobiety z miasta, przerzuciły się na wieś, ażeby przynieść tę świadomość kobietom wiejskim. My wiemy, my widzimy, że kobieta wiejska wraz z robotnicą z miasta dzisiaj na zakusy państw anglo-amerykańskich potrafi odpowiedzieć swoją wzmożoną pracą. Kobiety potrafią odpowiedzieć swoim współzawodnictwem. Nasza chłopka wie, że przez swój plon, przez swój pełny kłos, który kładzie na łanach Polski ludowej, przyczynia się do odbudowy kraju i przyczyni się w walce o pokój. *(Oklaski).*

Nasze kobiety i w dniu 2 października zamanifestują ze wszystkimi kobietami postępu, ze wszystkimi kobietami, które walczą o pokój, zamanifestują swoją gotowość do walki, swoją siłę przez zacieśnienie więzi sojuszu robotniczo-chłopskiego. Miasto Kraków w dniu 2 października wysyła 40 ekip kobiecych, które pojadą z referatem na wieś, ze słowem oświaty, pojadą po to, ażeby zacieśnić tę więź, zacieśnić i wzmóc tę walkę, ażeby dać świadomość kobiecie tej, którą najbardziej dotknęła krzywda wiekowa, która najbardziej cierpiała przez to, że była spychana na ostani plan, o której nikt nie myślał przez tyle lat, która najwięcej cierpiała i właśnie te kobiety staną wraz ze wszystkimi robotnicami jako przodownice społeczne do walki o pokój. Dlatego w dniu 2 października urządzimy we wszystkich zakładach pracy wielkie wiece, wielkie zebrania i zamanifestujemy, że dla nas najważniejszą rzeczą dzisiaj, dla nas kobiet, jest jedynie walka wraz z wami o pokój na całym świecie. *(Oklaski).*

*Kraków*

*Pisarz radziecki o pisarzu francuskim*

### WALENTY KATAJEW

# Nikczemność lokajów Wall — Street

Na wskroś przegniły i sprzedajny rząd francuski popełnił nową potworną zbrodnię.

Louis Aragon pozbawiony został praw obywatelskich. Znaczy to, że stracił możność zasiadania w parlamencie i spełniania innych czynności państwowych i społecznych, znaczy to, że pozbawiony został prawa wyborczego.

W ten sposób jeden ze znakomitych pisarzy współczesnej Francji, wybitny działacz postępowy i bojownik pokoju, nieustraszony żołnierz Ruchu Oporu, wierny syn swej ojczyzny, — zmuszony został do politycznej bierności.

Rozumiemy doskonale na czyj rozkaz działał godny pożałowania rząd współczesnej Francji. Działał on, jak i zawsze, według dyrektyw Waszyngtonu.

Plan Marshalla pozbawił Francję ekonomicznej niezależności i zepchnął potężne ongiś państwo do pozycji milczącego wasala. Według tego planu musi być we Francji do cna zlikwidowana światła ludzka myśl, wykorzeniony patriotyzm, stłumiona wola wolności i niezawisłości.

Louis Aragon należy do rzędu uczciwych, miłujących wolność Francuzów, którzy nigdy nie staną się niewolnikami i nigdy nie wyprą się wielkich tradycji demokratycznych rewolucyjnej Francji.

To jeszcze nie wszystko. Najważniejsze jest to, że Aragon należy do najbardziej czynnych uczestników wszechświatowej akcji pokojowej wymierzonej przeciwko podżegaczom wojennym. Związany jest z tą akcją ideologicznie i organizacyjnie jako pisarz-bojownik, jako członek stałego Wszechświatowego Kongresu Obrońców Pokoju. Ze stron popularnej wśród szerokich mas Francji gazety „Ce Soir", której jest redaktorem, przebija jego gniewny i donośny głos, demaskujący krwawe plany agresorów, którzy marzą o tym, żeby całemu światu założyć uzdę swej władzy.

Prawdziwy i jasny głos Aragona, głos uczciwego francuskiego pisarza i patrioty, przeraża podżegaczy wojennych, straszy inspiratorów i wykonawców planu Marshalla.

Dla nich Aragon jest groźny i nienawistny, ponieważ starcza mu męstwa i zdecydowania, aby w obecnej sytuacji powiedzieć: „Jako człowiek i jako pisarz uczestniczę w Kongresie Obrońców Pokoju dlatego, żeby pokazać, że nie jestem współkompanem podżegaczy wojennych, nawet tych, których reprezentuje mój rząd.

Dla mnie to zagadnienie honoru i nie tylko honoru osobistego. To zagadnienie dumy narodowej. Nie zapomniałem tego, że niemieccy inteligenci milczeli wtedy, gdy Hitler zagroził światu i niszczył go".

„My potrafimy zespolić się i zrozumieć przyjaciel przyjaciela. My potrafimy wygrać bitwę o pokój, to jest walkę o życie".

Oto myśli szlachetne. Im one szlachetniejsze, tym mniej podobają się amerykańskiej partii Francji.

Amerykańska partia zatyka usta Aragonowi. Zbrodnia ta dzieje się w tym samym czasie, gdy wypuszcza się z więzień najwybitniejszych przywódców Vichy, gdy z 40 głównych przestępców, zasądzonych w swoim czasie przez sąd Francji, znaczną większość już ułaskawiono lub wypuszczono na wolność pod tym lub innym łaskawym pretekstem, nieprzewidzianym, ma się rozumieć, przez prawodawstwo. Obecnie, wielu z najgorszych złoczyńców faszystowskich, sprzedawczyków własnej ojczyzny, cieszy się pełnią praw obywatelskich.

Kolaboracjonistom rządu Vichy przywraca się prawa obywatelskie. Aragona pozbawia się go!

Gra jest zupełnie przejrzysta.

Aragon niedawno napisał powieść „Komuniści".

Można nie łudzić się, że tego, kto napisałby powieść „Faszyści" lub „Vichy'ści" (ma się rozumieć w dogodnym dla pana Mocha duchu), nie pomyślanoby nawet pozbawiać praw obywatelskich. Przeciwnie, amerykańscy lokaje, rządzący Francją, popierają literaturę faszystowską.

Aragon zostaje pozbawiony praw obywatelskich w tym samym czasie, gdy de Gaulle występuje publicznie z żądaniem ofiarowania Pétainowi „prawa do wyrębu i łąki", co w przekładzie na prosty język oznacza zamianę i tak komfortowego „więzienia" w forcie wyspy d'Hyères na swobodne życie w willi na Riwierze i to jeszcze na koszt państwa. Rzecz w tym, że Pétain potrzebny jest jako sztandar dla rozzuchwalonej reakcji.

Czy to nie potworna nikczemność?

Mimo wszystkie usiłowania amerykańsko-francuskich żandarmów naród, tak jak i przedtem, będzie uważał Aragona za pełnoprawnego obywatela i tak jak przedtem będzie zaliczał poetę do szeregu oddanych i odważnych obrońców godności narodowej wolnej Francji.

Najemnikom Waszyngtonu nie uda się obrócić wstecz koła historii i powstrzymać biegu słońca. To nie na ich siły. Co prawda mogą jeszcze na razie udzielać bezzębnej hienie Pétainowi i innym przywileju „wyrębu i łączki". Ale myślę, że w końcu drzewo z tego wyrębu przemieni się dla podżegaczy wojennych w przysłowiową suchą gałąź.

**Walenty Katajew**

# Od Jana Tetli do Tadeusza Urgacza

*„Dlaczego o nas, o współczesności nie piszecie!" — pytanie to słyszą często autorzy na spotkaniach z masami robotniczymi i chłopskimi, a więc z istotnym czytelnikiem. Wołanie o literaturę współczesną, — o literaturę, której bohaterem przestanie być oderwany od ludu i narodu maruder inteligencji ze swymi chorobliwymi przeżyciami, a stanie się człowiek pracy, — trwa od pierwszej chwili wyzwolenia. Należy stwierdzić, że po pięciu latach, choć z opóźnieniem, wielu literatów zdobywa się na tematy współczesne.*

*Rzecz jasna, że odczucie i zrozumienie życia szerokich warstw narodu jest trudne dla ludzi stojących zzewnątrz istotnych procesów, ludzi zamkniętych w wąskich ramach własnego kręgu skostniałych, spóźnionych pojęć.*

*Przełom w literaturze może być przyśpieszony, gdy przy przechodzeniu na obszary nowych tematów pisarze nasi spojrzą uważnie na dorobek rosnących nowych ludowych kadr pisarskich. „Życiorysy górników" — to pierwsza próba pióra owych ludzi. Oczywiście na tę niezwykle ciekawą publikację wydaną przez Związek Zawodowy Górników nie można patrzeć z perspektywy kawiarnianej estetyki. Odwrotnie, pisarze nasi muszą zrozumieć, że na tę estetykę nie tylko można, ale trzeba patrzeć z wyżyn takich „życiorysów".*

*Przełom w literaturze będzie dokonany, włączenie się zaś starszego pokolenia pisarzy do współczesności przyśpieszyć może niewątpliwie obserwacja nowej rzeczywistości również i za pośrednictwem takiego, pełnego surowej prawdy autentyku.*

*Od Jana Tetli do Tadeusza Urgacza — poety wyrastającego z czarnego robotniczego Śląska — jest długa droga, — i rzecz jasna, dla obu jeszcze nieukończona, ale u jej początków stoi wspólna rzeczywistość, ten sam temat.*

JAN TETLA

## 29 lat pod ziemią

Upoważnienie do udziału w konkursie mam, bo pracuję przeszło 29 lat pod ziemią. Chciałbym i pisać życiorys, lecz nie tak jak Wy sobie życzycie, a mianowicie, że ma się pisać tymi wyrazami, których górnik używa w życiu codziennym. Chociaż sam gramatycznie nie piszę (dlaczego wytłumaczym później), jestem w zasadzie przeciw zniekształcaniu mowy ojczystej. Czytając, gdy się ukaże w prasie, jakiś artykuł względnie wiersz w gwarze śląskiej, naprawdę nie wiem co czytałem. Gdybym był literatem lub publicystą, już dawno byłbym odpowiedział niektórym pisarzowi, że nie ma bronić gwary śląskiej, albowiem ona i tak za dużo niemczyzny ma w sobie. Rozmawiam codziennie z kolegami i jestem zmuszony stwierdzić, że może ani połowę nie używamy polskich słów. Kiedy zaczną na Śląsku oczyszczać mowę naszą z naleciałości niemieckich? Czy faktycznie tak czuję, jak powyżej powiedziałem, możecie wierzyć lub nie — wola Wasza.

Czy lubię swój zawód? Posłuchajcie życiorysu, który „poeta z łaski Boga" napisał dla siebie zaraz po wyzwoleniu:

1. „Pożoga wojenna ogarnęła świat, lud szary kładł życie, za jakiś siepaczy, minęło od chwili tej już wiele lat, gdy z gwizdkiem na ustach, szedłbym do pracy.
   Nie znałem złych ludzi i świata pięknego — cieszyła więc praca, górnika młodszego.
   Nie trzeba było Matce się trudzić, chłopczyka swego do pracy obudzić.
2. Pokój i Wolność przyszły na świat.
   Umilkły armaty, umilkł kul świst.
   Chodziłem ku szybie — już kilka lat; przez usta rzadko przechodził już gwizd.
   Starsi koledzy wiele nauczyli, nazywali złych ludzi — co wyzyskiwali.
   Teraz Matka już dłużej musiała się trudzić, by chłopca swego do pracy obudzić.
3. Okiem dojrzałym patrzyłym na ten świat. Teraz mnie już rębaczem nazwali.
   Nigdy nie zapomnę tych lat — gdy wiele górników za kraty zamykali.
   Bo pracy chcieli i chleba, dla dzieci i żony, a którego odmawiali — przeklęte Ozony!
   Choć teraz żonka musiała się trudzić, to ciężko, ale do pracy dałem się obudzić.
4. I znów pożoga wojenna ogarnęła świat, teraz już dobrze znałem siepaczy. Mordownia to gorsza, niż z ubiegłych lat, z głową spuszczoną — szedłym do pracy.
   Cierpienia mej duszy trudno opisać — nauczyli „Naziści" — własnego cienia się bać.
5. Gdy hordy krzyżackie, pobite zostały i droga wolności zabłysła mi znów.
   Usta się znowu — gwizdać nauczyły, idę ku szybie — mocny i zdrów.
   Teraz już wiem dla kogo wydobywam.
   Ojczyzno moja, dobrze Cię znam!
   Nikt się już teraz nie musi trudzić, ze zdrowego snu do pracy mnie budzić".

Proszę nie uważać za chełpienie się. Jestem amatorem i do dziś nie robiłem żadnego użytku z tego. Wiem, — że jak się nie umie pisać, nie może się też pisać wierszy.

TOMASZ RYBOK

## Nie jestem królem, ale zwykłym górnikiem

Nareszcie nadszedł mój ukończony rok 14-sty. Mój nauczyciel von Mletzko radził mi, abym poszedł na szkoły wyższe, bo szkoda talenty nadające się do nauki zmarnować. Sam starał się o dalsze sprawy. Po upływie trzech tygodni doręczył mi mój nauczyciel odpowiedzi otrzymane na jego zabiegi, a które brzmiały: „Rybok Tomasz jest obcokrajowcem (Polakiem) i dlatego nie ma mowy o wyższych naukach". Ja tymczasem pracowałem już, jako młodociany na powierzchni kopalni „Jerzy" w Małej Dąbrówce.

Mając lat 16, zajechałem po raz pierwszy do podziemia kopalni i od tej chwili napoczęła się moja golgota. Nie dlatego, bym był leniwy, lub niezadowolony z wyboru tego zawodu, tylko dlatego, żem był dobrym uczniem szkolnym, a później dobrym robotnikiem w kopalni. Praca w kopalni wówczas (1895 r.) była bardzo ciężka, żadnych ulepszeń technicznych, lub maszynowych. Każdy kąsek węgla musiano siłą robotnika wydobyć na powierzchnię. Na upadowych nie było maszyn do wyciągania, tylko dwie korby, a czterech robotników bez przerwy, przez dziesięć godzin, w dużo wypadkach nawet bez świeżego powietrza, je kręciło.

Ja, będąc po raz pierwszy w kopalni 9.XII.1895 r., a więc w zimie, obleczony w ciepłe ubranie, przydzielony zostałem jako pomocnik ładowacza (szleper), gdzie było trzeba wynosić węgiel w nieckach, tak, jak na jaką budowę, po dwa razy 6-metrowych balach do góry i to bez powietrza. Głowa tak bolała, a za każdym wózkiem naładowanym powąchaliśmy sobie salmiaku z butelki, którą mój szleper nosił codziennie z sobą. Pracowało się 10 godzin, za 1,10 mk. Tak pracowałem dziennie przez trzy lata.

Nazajutrz przydzielono mnie do oddziału południowego, gdzie węgiel palił się tak, że lampa górnicza nie była potrzebna, bo paliły się węgle jak stodoła. Ciężko było wytrzymać, bo dano mi pracę pół-rębacz, pół-uczeń, pół-ładowacz. Ręce tak bolały, że w domu przy obiedzie musiałem lewą ręką dźwigać prawą, aby podnieść łyżkę strawy do ust. Moi współpracownicy — rębacze robili wszystko, aby doprowadzić do tego, bym sam powiedział, że nie potrafię dalej. A ja postanowiłem nie poddać się; przez trzy miesiące nie zmarnowałem ani jednej dniówki (szkoda, że nie było tak jak dziś, bo bym był pierwszy, jak dzisiaj górnik — Pstrowski).

Kierownik widząc, że się mimo szykan nie poddaję, postawił mnie do pracy w nowobudowanym szybie i tu wytrzymałem cztery miesiące, za zapłatą 4,20 marek za dniówkę. Po czterech miesiącach przydzielono mnie do pracy, jako ładowacz do oddziału, którego pokład miał 50 centymetrów wysokości. Tu już był szczyt szykan. Powiedziałem nadsztygarowi prawdę, że lubię pracować, ale dlaczego te szykany i przenoszenia z oddziału do oddziału? W rezultacie zwolniono mnie pod pozorem, żem za mądry.

Aby nie stracić żadnej dniówki, jeszcze tego samego dnia zgłosiłem się do pracy, na szybie „Rychter" tego samego towarzystwa — Siemianowice. Niestety, po porozumieniu telefonicznym oddalono mnie; było to 20.XI.1906 r.

Wówczas na każdej kopalni było na widocznym miejscu ogłoszenie:

„Tu się przyjmuje rębaczy, ładowaczy i różnych. Przyjmowanie od 2 — 4 po południu".

W dniu następnym udałem się na kopalnię „Maks" w Michałkowicach. Około 30-tu mężczyzn czekało na pracę. O godzinie drugiej otwarto okno, przez które wezwano do oddania papierów do pracy. Po upływie pięciu minut znów się otwiera okno, z zapytaniem, który jest Rybok Tomasz. Po zgłoszeniu się doręczono mi moje papiery z powrotem, że nie zachodzi potrzeba przyjęcia do pracy.

Po obejrzeniu rzekł:

„Tu macie znak, że macie wielką gębę!".

— „Jakto wielką gębę? Żądam tylko sprawiedliwości!"

— „No, no, my już znamy śląskich robotników, mają wielkie pyski, a nic poza tym!"

— „Jeżeli wam się nie podobają wielkie pyski śląskich górników, to zrezygnujcie z śląskich kopalń. Ale jeszcze może przyjdzie ten czas, że wy tych kopalń mieć nie będziecie, a ktoś inny będzie nimi rządził (tymi kopalniami). A teraz pytam, co mam robić, abym mógł otrzymać pracę?"

Na to ów inspektor rzekł:

— „Idźcie do podpisanego sztygara Gnerlicha i proście o inne świadectwo zwolnienia!"

— Proszę pana, tego nie zrobię, bo ja jestem nauczony pracować a nie prosić. Króle musieli iść błagać do Kanossy, ale ja nie jestem królem, tylko zwykłym górnikiem".

LEOPOLD BOROŃ

## Przyjaciel i niebezpieczeństwo

Jeździłem koniem i siadałem na pierwszym wózku. Mój koń i ja — tośmy się bardzo rozumieli. Ja codziennie wykradałem z magazyniku pełny kapelusz owsa i sypałem pokryjomu koniowi. Mój przyjaciel — koń był tak rozumny, że jeżeli zwrotnica była źle nastawiona, to przystanął, by wózki nie zleciały ze szyn.

Mój koń był najładniejszy i dobrze czyszczony; kiedy zjechała komisja badać konie, to zawsze dostałem pochwały. A najgorzej, gdyby był koń obity, lub odarty gdzieś na boku — co często się zdarzało. Było to podczas pierwszej wojny światowej. Niemcy szanowali i troszczyli się lepiej o konia, jak o Polaka. Przyznać się nie mogłem, bo czekało mnie więzienie. Stale chodziłem zamyślony, by mi się nie przewrócił, a więcej nie wstał... Mój koń miał na imię Heinz— lat 15-cie. Mimo tego miał wygląd sześciolatka, maści białej, bardzo urodziwy i czysty. Takie konie można spotkać po cyrkusach. Górnicy tutejsi pracowali na jedną zmianę. Wywieźli urobek, dziury poborowali i strzelali na dniówkę. Jeżeli który z numerów pierw się odrobił, toteż i wcześniej słychać było detonację. Mój Heinz gdy słyszał detonację strzałów, już nie miał spokoju, by jak najprędzej znaleźć się w stajni... Gdy się niecierpliwił to poszedłem pogłaskałem i mówię:

— Heinz, policz ile mamy pociągów.

Mój Heinz za pomocą przedniej nogi, robił tupnięcia. Tak wyliczał pociągi. Gdy wyliczył sześć:

— „No widzisz Heinz jeszcze musimy po jeden pociąg jechać".

Po ostatni pociąg — to się bardzo śpieszył. Niekiedy to też zapomniał, ile pociągów odwieźliśmy. Jeżeli wyliczyć nie mógł, bo zapomniał, to tak silnie bił nogą o ziemię aż strach! Nie lubiał, gdy się śmiałem z niego. Zawsze głowę odwracał...

A parę razy, zrobiłem jego za błazna. Gdy wołałem: „Heinz, chodź, dam ci chleba", — a później kazałem jemu iść z powrotem że nie mam — widziałem. że się gniewa na mnie. — Przestałem takich żartów.

Pociąg składał się z 10-ciu wózków Jeżeli miał przypiętych 12 wózków, to stanął. Na pewno wyliczał, jak zabierał pociąg... Robiłem w ten sposób ostatnie dwa, lub trzy wózki rozciągnęłem, by przy pierwszym pociągnięciu nie zauważył. Jednakże nie zawsze dał się okłamać. Pooglądał się parę razy na wózki, postanowił, że z miejsca się nie ruszy. Tłumaczyłem mojemu Heinzowi. Nie wiem, czy mnie nie rozumiał, czy też nie chciał zrozumieć. Albo znał przepisy, że nie wolno koniowi zapinać więcej ponad 10 wózków?...

Niekiedy zależało mi na tym, by przybrać parę wózków więcej: Bić jego nie miałem sumienia. Przepis taki był tylko 10 wózków... Heinzowi nie trza było gadać, lub poganiać jego. On wiedział, kiedy ma iść, a kiedy przystanąć. To była moja jedyna ucieszona praca z przyjacielem koniem...

Jednego razu mówię mojemu przyjacielowi: „Pokochaj mnie".

To kładł łeb na moją barkę, gdy powiedziałem mocniej, to przyciskał łbem tak mocno, że ciężaru wytrzymać nie szło.

Przewlokłem rękę pomiędzy uszami, aż tu co! Kawał skóry razem z grzywą. Uchylam — rana szeroka do kości. Ogarnął mnie wielki strach i żałość. Smarowałem różnymi maściami, rana nadal gniła. Prosiłem mego sztygara o inną pracę, tłumacząc się małym zarobkiem, kategorycznie mi odmówił.

Pracuję na trzy zmiany. Mam dniówkę nocną. Mam przebudować na filarze motor powietrzny. Jestem na miejscu w filarze, palę papierosa, obmyślam, co ja tu dzisiaj zrobię. Mam do pomocy chłopczyka, lat 17. Pierwszą dniówkę pracuje pod ziemią...

W około cisza panuje, bo w nocy są tylko reparacje. Filar wybrany na przestrzeni około dwóch mórg — 1/8 zabudowana. Z reszty cięższe drzewo wyrabowane, ale wszystko stoi. Kamień — piaskowiec, co jest najmocniejszy. Stemple czyli stojaki, gdzieniegdzie połamane, — ale cisza. Drzewo nie zdaje znaku. Aż tu zleciał prosto na rynny kawałek kamienia. Mój chłopczyk, jak skoczył i w nogi. Siedzę i śmieję się... Nadal cisza. Gdy parę minut nie ma mojego chłopczyka, wychodzę z filara zawołać jego i wytłumaczyć, żeby się nie bał. Wyszedłem może trzy kroki z filara, a tu jakby pieron trzasł! Poleciałem kilkanaście metrów w dół... Najgorzej, że po ciemku nie mogłem lampy znaleźć, bo zaledwie miałem zapalniczkę do skrytania. Nie było części ciała, żeby była zdrowa. Znalazłem lampę i mojego chłopczyka mocno przestraszonego....

Poszliśmy zobaczyć. Wygląd miał filar, jakby ktoś zamurował. Poszliśmy pod szyb, bez naczynia i marynarek.

Jeżeli brakowało górników, to często cieślowie górnicy zastępowali górników. Może tu podam przyczynę i przeznaczenie górnika. Mam już doświadczenie. Jednego rązu z kolegą nabiliśmy trzy dziury, czyli załadowali. Materiał wybuchowy składał się z prochu i lontu, czyli sznura zapalającego. Jak zaznaczyłem, trzy strzały. Po paru minutach poszliśmy. Wyraźnie było słychać trzy strzały. Było to na filarze. Strzelaliśmy ławę spodnią grubości metra. Jak to? Strzały poszły trzy, ale ta jedna bardzo mało zrobiła. Aż tu trzask! Trochę podniosło mnie do góry. Kolega dostał gorzej bo stał przy ławie, a ja na ławie.

Otóż, gdy się ubija dziury materiału, zostanie jakaś mała część w środku dziury. Gdy ogień przychodzi, robi eksplozję. Powoli ogień dochodzi do właściwego materiału i wybucha raz. Tak, że z jednej ubitej dziury, przychodzą niekiedy dwa strzały. Są i takie pomyłki: jeżeli węgiel tąpie, niekiedy nie można odróżnić od strzału. Tąpnięcie powoduje ciśnienie kamienia, czyli gniecenie węgla. Niekiedy tak tąpło, że światła pogasły. No i przede wszystkim bywały nieszczęśliwe wypadki, podczas takiego silnego wystrzału. Temu już sam górnik nie jest winien, gdyż tego przewidzieć nie można.

Górnik jeszcze musi pamiętać o godz. 12-tej, gdyż w tym czasie zagraża zawalenie się. Jeżeli niebezpieczny hamulec dotrzyma do tej godziny, to podczas południa zawala się.

Zawód górnika nie jest łatwy. Musi posiadać zdrowie, słuch, powonienie, bystry wzrok. Nie być pijany przy pracy. Nie myśleć o niczym tylko o swej pracy. Zdrowie górnika, by mógł wykonać ciężką. Być odpornym na wodę, pył, gorąco, smędy materiałów wybuchowych.

Słuch — najmniejsze pęknięcie drzewa, łamanie kamienia. W ogóle, musi słyszeć co się wokół niego dzieje.

Powonienie — musi odróżniać smędy od ognia, czy gazu ziemnego i jaki gatunek gazu, czyli rodzaj gazu.

Pijanym górnik być nie może, a to dlatego, że zawód górnika jest bardzo niebezpieczny. Nie myśleć o niczem — tylko o swej pracy.

Jeżeli się nie mylę, to 80 proc. nieszczęśliwych wypadków, jest z tego powodu, że górnik myśli skupia o czym innym, a nie myśli o swej pracy.

Praca, jak praca, ale różnice w tutejszych kopalniach są duże. Jest węgiel stojący, jest co parę metrów uskok, są upady różne. Trafiam na pokład więcej upadowy. Niepotrzebne są tutaj motory do potrzęsania węgla, jest taki upad, że węgiel sam spada w dół. Tutaj też trzeba się śpieszyć, aby jak najprędzej wedrzeć się w ścianę węgla, by można się schować od brył. które mocną siłą pędzą w dół. Tu dopiero jest kurz, że od światła mało widać...

Z powodu węża gumowego nie byłem w stanie przedwcześnie wykopać sobie dziurę w węglu. Tyle zdążyłem, że mogłem przylepić się do ściany. Opieram się, chwytam jedną nogą o ścianę węgla, drugą o stojaka, a ręką prawą chwytam stropnicę. W tym większy kawałek węgla uderzył o stojak i zleciał w dół. Momentalnie przygniata mi rękę jakaś siła. Lampę mam zawieszoną na szyi, pomału przychylam się, by promień światła padł na stropnicę. Patrzę, odeszła duża płyta kamienia i trzymam ten ciężar. Powyżej mnie pracuje Holender, trochę głuchy. A tu szum węgla i warczenie maszynek... Krzyczę na całe gardło. Ręka mdleje, puszczam pomału w dół, ale też zaraz kładę się na renny. Po moim hełmie — tylko szum. Na szczęście drobne węgle. Puszczę zupełnie — jestem zaduszony. Cały węgiel, który leciał zatrzymał się o mnie. Myśle sobie tak, czy tak, jestem zaduszony. Jeszcze raz postanowiłem silnie krzyczeć. Nie pomoże — to jest los przeznaczenia. To były moje ostatnie myśli.

Jak żmija od wierzchu, czołgał się nasz sztygar w czeluści, tak zwanej obchodowej. W razie eksplozji można było uciekać tą szparą, jak ją zawsze nazywałem.

Coś, jakby go dolatywały jakieś krzyki. Przystanął — patrzy na ścianę węgla. Na tej dużej przestrzeni nie widzi światła. Gdy dojrzałem światło o trzy metry ode mnie, dopiero zakrzyknąłem ostatnim tchem...

Mój sztygar, jakby go kto wystrzelił. Zatrzymał jednego, drugiego, a trzeciemu daje polecenie, że mają pracę zatrzymać. Stawiają stojaki pod stropnicę, wyciągają mnie... Mój sztygar bada mnie, czy nie mam, co złamanego. Nic — za wyjątkiem porysanych plecy. Podaje mi rękę i śmiejemy się obydwoje... Rękę miałem tak nadwyrężoną, że dłuższy czas odczuwałem...

TADEUSZ URGACZ

## *Robotnice*

**W piorunach braw, w grającej gromadzie oklasków**
**pochwalam was, dziewczyny wygimnastykowane, lekkonogie.**
**Przed srebrnymi ustami kin, na zielonych prześcieradłach boisk**
**wasz krok przelatuje pachnący jak ogień.**

**Sprzedawczynie brzoskwiń, dziewczęta z zapałkami**
**wlewające łyżki marzeń do szklanek z herbatą**
**jak najpiękniejsze samoloty wasze warkocze warczą.**
**Nadwiślański trębaczu, na ich cześć tysiąc razy zatrąb.**

**Wczoraj na kopalni geolog-inżynier**
**powiedział: żyjemy w latach czwartorzędu**
**Młodzi robotnicy, myśląc o was, miłe,**
**ryknęli: dla nas to jest pierwszorzęd,**
**niech pan, inżynierze, raz wyfrunie z błędu.**

**Lekkonogie, elektryczne,**
**propagandą ust czerwone dwudziestolatki,**
**głoszę waszą pochwałę, waszą krew i wargi**
**o mądre wyrobnice narodu, o jutrzejsze matki.**

## *Wolność jest dla wszystkich — wyciągnijcie po nią rękę*)*

**Korespondentko Times'a, lady**
**z różową, elektryczną grzywą,**
**niech pani do ojczyzny swej,**
**ojczyzny barów, koni, mgieł,**
**niech pani prześle i śmiech deszczu**
**i niemożliwy żar okopów**
**i cały nasz**
**zwycięski front.**

**Byłby w gazecie pani**
**czar,**
**wyspiarze szukaliby wiatru**
**który powszechnie u nas wieje**
**kiedy Sieroża wali z katiusz**
**i na bagnety idzie Jan.**

**Byłby w gazecie pani kraj**
**szczęśliwy, jasny jak poranek**
**gdzie kwiat to kwiat**
**człowiek to człowiek**
**o piątiletce pieśń**
**to pieśń.**

**Byłaby w szpaltach pani krew,**
**Sieroża myłby ranną pierś**
**(Sierożo, jeszcze się spotkamy**
**na dworcu Moskwy lub Warszawy)**

**byłoby w szpaltach pani wapno,**
**muskuły cegieł, polska stal**
**z których po wojnie wzniesie Polskę**
**żelaznooki strzelec Jan.**

**I wtedy z kiosków biłby żar**
**epoką światła w twarz przechodniom**
**jakby z gazety miękkiej skóry**
**ranek wypalił elektrownią.**

**Korespondentko Times'a — ale**
**kelner, jaskółka wyfraczona**
**przyfrunie z wódką...**

**O kraju jasnym jak poranek**
**na molo portu doker śni**
**w ojczyźnie barów, koni, mgły.**

**) Fragment poematu o Lenino.*

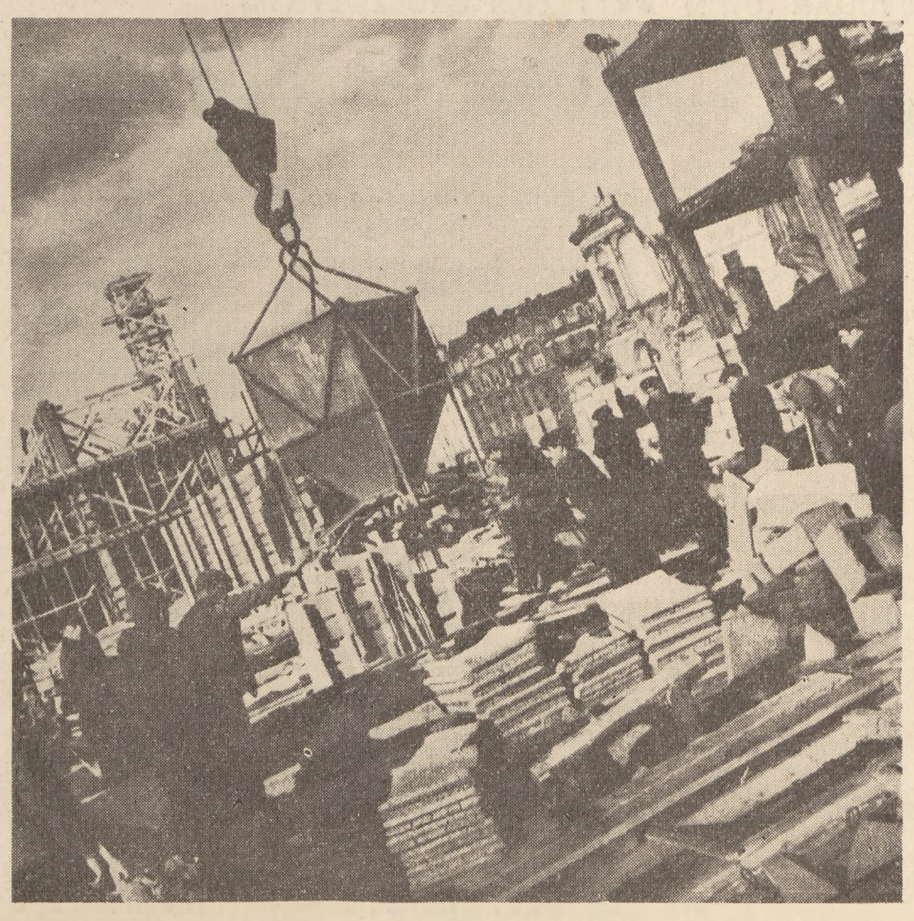

K. I. GAŁCZYNSKI

# *Warszawski wiatr*

**Spójrz, jakie słoneczniki**
**na tej ulicy z boku!**
**A ten szum jak przed kinem?**
**To wiatr wieje przez Grochów,**
**mruczy w zieleńcach**
**jakby pisał wiersze.**
**Ej! Kocham cię do szaleństwa,**
**ty warszawski wietrze!**

**Warszawski wiatr —**
**po Starówce i Mariensztacie,**
**warszawski wiatr —**
**wy się w nim jak ja zakochacie,**
**warszawski wiatr —**
**jemu równego nie ma,**
**na Freta i Bema**
**i jak szeroka ziemia**
**pędzi warszawski wiatr.**

**Murarzom pot z czoła ściera,**
**z nowych dni wczorajszy kurz,**
**na Woli go tuli do serca**
**potężny cień Waltera;**

**na Pradze i na Powiślu**
**dorożkarzom gra walca na dyszlu,**
**a włosy dziewcząt od Wedla**
**rzeźbi jak majster Stwosz —**

**Warszawski wiatr —**
**po Starówce i Mariensztacie,**
**warszawski wiatr —**
**wy się w nim jak ja zakochacie,**
**warszawski wiatr,**
**srebrny wiatr, jak wiślana syrena,**
**jak fortepian Szopena,**
**nieśmiertelny, warszawski wiatr!**

**A gdy święto świętuje Warszawa,**
**Młodzieży, lub Lotnictwa,**
**on przychodzi i na flagach**
**gra jak na skrzypcach;**

**taki drugi mi pokażcie,**
**by swe miasto kochał tak!**
**w tych sztandarach, maszt przy maszcie,**
**on na maszcie jak ptak.**

**A najmocniej on lubi**
**te czerwone jak rubin,**
**jak dzieciak z nich się cieszy**
**stary wiatr, srebrny wietrzyk**

**A od rana — na nowo —**
**na Krakowskie — Miodową**
**i znów cegły i praca,**
**więc on wraca jak śpiew.**

**A o zmierzchu, w czas wiosny**
**z gitarą przechodzi przez mosty**
**A jesienią liście do rzeki**
**jak fajerwerki strąca z drzew:**

**warszawski wiatr —**
**po Starówce i Mariensztacie,**
**warszawski wiatr —**
**wy się w nim jak ja zakochacie,**
**warszawski wiatr,**
**wiatr krwi i chwały,**
**robociarz wytrwały,**
**mądry warszawski wiatr.**

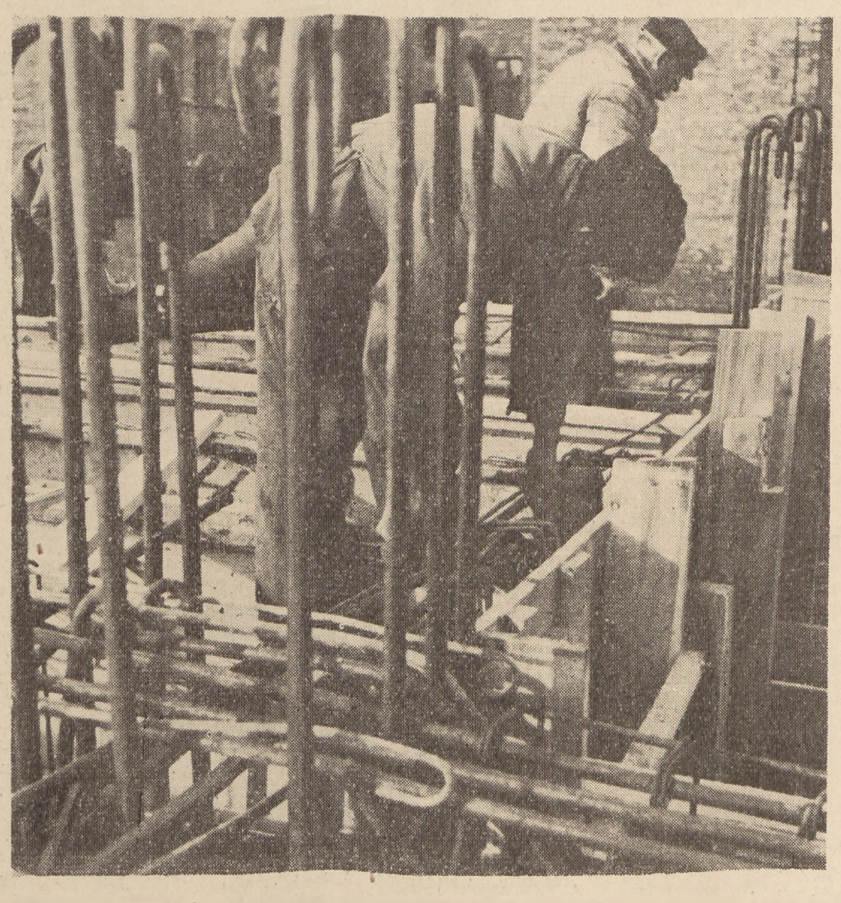

KSAWERY PRUSZYŃSKI

rysunki JANA LENICY

# Zrodzona we wrześniu

Wjeżdżając triumfalnie we wrześniu 1944 w ulice wyzwolonej Gandawy czołg Kleofasa wyrżnął gąsienicami w sam krawężnik — aż posypały się skry, a przechodząca mimo młoda gandawianka padła wytwornie zemdlona. Kleofas wyskoczył, zajął cię cuceniem. Poszło mu to dosyć sprawnie — w dwa miesiące byli po ślubie.

Panna była z zacnej, zamożnej i nudnej rodziny flamandzkiej z Gandawy, nudy zawsze wpływają ożywczo na wzrost rodziny, toteż Geneviève miała trzy siostry, dwóch braci oraz była nie mniej posażna w ciotki, kuzynów, wujów. Siostry Geneviève nie mniej ofiarnie witały wyzwalających aliantów — Renée wyszła za porucznika 52 dywizji szkockiej, Solange za majora Kanadyjczyka, Marie Claire za Belga z Belgijskiego Konga — nawet ciotkę wydano za jakiegoś nieuważnego Anglika.

— Wyprzedaż całego kramu — osądziła zwycięsko mama. — Kto jak kto, ale ja wygrałam tę wojnę!

— I rozsiałaś dzieci po świecie — zaopiniował papa.

— Nikt się ciebie o zdanie nie pyta — osądziła mama.

Papa miał zresztą rację. W rok potem dom na Boulevard Albert I stał pustką, za to przychodziły listy ze znaczkami obcymi. Renée pisała z Cupar Fife że mokro, że zimno, że deszcz pada, że wszystko na kartki i że spodziewa się dziecka. Solange pisała z Beaucaire, Québec, że susza, że duszno, że las, że słuchają radia, że chciałaby, żeby to był syn. Marie Claire pisała z afrykańskiej „brousse", że do Leopoldville jedzie się trzy dni, że upał, że Murzyni, że owoce, że nuda i chciałaby wrócić do Gandawy na poród. Tante Constance wróciła z Scarborough; Anglik doszedł do wniosku, że w swej ofiarności alianckiej poszedł jednak za daleko i odesłał ciocię do domu klnąc cały Benelux.

Najpóźniej stosunkowo wybrał się do swej ojczyzny Kleofas objuczony gandawską żoną. Roztropna Geneviève naciągnęła obie babki na futro, tłumacząc, że na przysłowiowe, słynne nawet w Gandawie, polskie mrozy („vous me comprenez. La Sibérie c'est déjà pas loin"), nie ma jak nurki i popielice. Obdarowana garnkami, dolarami i innym dobrem dobrnęła do Warszawy i osiedliła się na Saskiej Kępie. I ona również poczęła pisać listy: na Boulevard Albert I-er poczęły przychodzić koperty z Fryderykiem Szopenem, Bolesławem Bierutem i Kongresem Zjednoczenia. Były one nieco inne niż listy Solange, Renée i Marie Claire.

— Nie przysyłajcie mi proszę cukru, mogę go kupić ile chcę, taniej niż w Belgii. Po waszą paczkę z 1 kg cukru musiałam stać w ogonku godzinę.

Oczywiście, gandawianie nie głupi, czytają amerykańskie gazety. Wiedzieli, co o tym sądzić.

— Biedna, biedna Geneviève, rozczuliły się ciotki. Okropność! My wiemy dobrze, że w Polsce nie ma grama cukru; stojało o tym w „Life". Zmuszają ją tak pisać! Janie! Poślijmy jej jeszcze z kilo, biedaczce.

„Święta spędziliśmy w Zakopanem" — doniosła po Nowym Roku Geneviève.

— Straszne! Przecież Zakopane zarezerwowane dla armii sowieckiej: tak mówiła „La voix de l'Amérique' — zawodziła rodzina w Gandawie.

„Latem Kleofas obiecuje zabrać mnie do Puszczy Białowieskiej" — planowała Geneviève.

— Nie rób tego, kochanie: przez okazję powiemy Ci dlaczego — odpowiadano z wszystkowiedzącej Gandawy.

Ale widać okazji nie było, albowiem Geneviève nie dowiedziała się nigdy, dlaczego nie wolno jej przekraczać granic żubrzego królestwa. Posłała nawet zdjęcie swoje z młodocianym żubrzakiem. Bydlątko jadło jej z ręki trawę swego imienia. Ale i zdjęcie nie przekonało rodziny. Propaganda, wszystko propaganda... Listy Geneviève pozostały tak zagadką Gandawy.

Natomiast inne listy nie były wprawdzie zagadką, ale nie były i źródłem radości. W Kanadzie było bardzo dobrze, ale mąż Solange stracił pracę i nie mógł dostać nowej. Ze Szkocji pisała Renée, aby jej posyłano cukier wysyłany „niewiadomo po co" do Geneviève. Z głębi Konga pisała Marie Claire, że jej mąż ma tam na plantacji kłopoty. Ci podli Murzyni już nie chcą tak, jak za dawnych czasów... Kolonie dziś to nie to, co było. Niestety! — I z biegiem lat, jakie oddaliły świat i dom na Boulevard Albert I od pięknych dni Wyzwolenia, stawało się jasne, że nigdzie już nie jest „dobrze" (to znaczy tak, jak było), ani pod równikiem, ani za Atlantykiem, ani za Kanałem. Brat zacnych sióstr szukał chleba w Marokku, ale i tam jakoś niezbyt mu szło. Ludzie mówili o wojnie, a rodzinny notariusz, Mr. Brunet, był bardzo sceptyczny. W samej Belgii bezrobocie rosło. „Il faut chercher des placements, ailleurs" — kiwał głową

Mr. Brunet; trzeba lokować swą forsę gdzie indziej. Ale gdzie? Gdzie jest pewnie, gdzie jest bezpiecznie? Mr. Brunet patrzył otępiale w przestrzeń. Nulle part. Nigdzie!

*

Maman rozsianych po świecie córek nie ograniczała swej mądrości życiowej do rad Mr. Bruneta. Tak, Mr. Brunet, doradca rodziny od trzech pokoleń, był mądry, bardzo mądry. Wiedział, czy lepsze są akcje kolei do Brazzaville, czy portu w Hogu-Tomba, plantacji tapioki w Maluna, czy rzeźni w Bettys. Ale teraz z dobrocią tych wszystkich dobroci było jednako źle i Mr. Brunet gubił się w tym prawie tak samo jak w świecie powojennym gubili się politycy, ministrowie i rządy. Szczęściem, że maman — jak niejedna maman w Gandawie — miała jeszcze innego doradcę. Mr. Brunet nie podejrzewał nawet jego istnienia. Nie, nie był to inny, konkurencyjny notariusz. Była to kobieta, Madame Montsa. Nikt nie znał dokładnie jej wieku — mogła mieć lat trzydzieści, mogła i sześćdziesiąt. Nikt nie znał jej narodowości. Mogła być Arabką, Rumunką, Włoszką, czy po prostu pochodzić z Mławy. Za to ona wiedziała wszystko i widziała przyszłość. Tak, przy pomocy dwoistej wiedzy — męskiej — p. Bruneta i kobiecej — madame Montsa, maman od lat kierowała się w zawiłych sprawach życia.

Teraz zatem pojechała ponownie do madame Montsa, a stara wróżbiarka antwerpska powitała ją jakby wiedziała z góry, że przyjdzie i o co jej chodzi.

Niemniej maman wyjaśniła:

— Tu wiedzie nam się coraz gorzej, moje dzieci są wszędzie po świecie. W Europie mówi się o wojnie.

— Ehem! — rzekła wróżka w tonie „zawsze mówiłam".

— To by chyba było najgorsze...

— Ehem! — podtrzymywała wróżka w tym samym tonie, ale z jeszcze większą pewnością.

— Jabym tego już nie przeżyła...

— Ehem!

— Toteż chcę wyjechać...

— Ehem?

— Ale nie wiem dokąd. Moje dzieci są wszędzie. Do którego z nich mam się udać?

— To się zobaczy. Ehem! Ehem!

Aby zobaczyć, rozłożyła najpierw karty z talii syryjskiej, potem z innej, którą nazwała egipską, po-

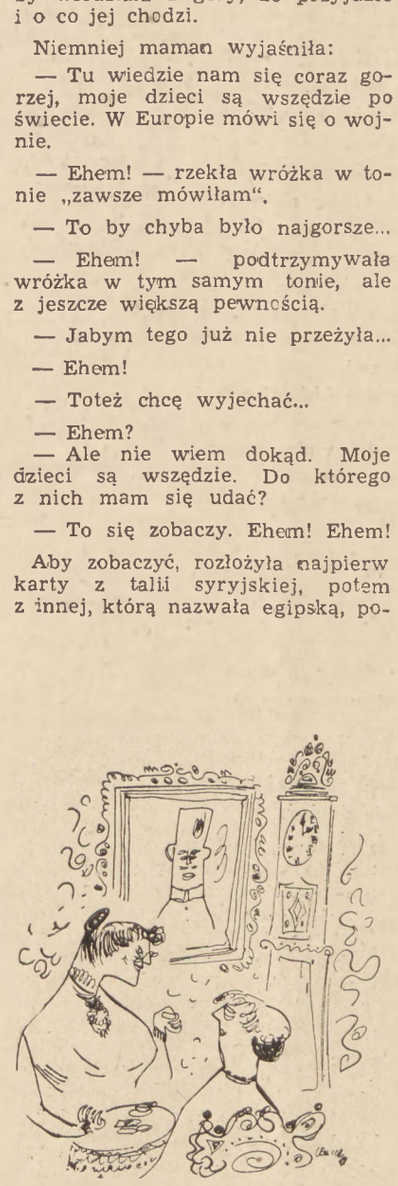

tem rozsypała zboże na blat stołu, wreszcie wylała na spodek fusy z czarnej kawy. Ten ostatni zabieg najwidoczniej rozjaśnił mroki przyszłości, bo powoli zaczęła mówić:

— Pani nie pojedzie do córki urodzonej w sierpniu...

Maman sięgnęła do swej pamięci i przełożyła uroczysty język wróżbity na mowę potoczną: orzeczenie gandawskiej Pytii zdziwiło ją: córka zrodzona w sierpniu to była Solange, która wyszła za Kanadyjczyka.

— Ale dlaczego? — spytała maman, która uważała Kanadę za kraj drogi i nudny, ale za to bardzo bezpieczny.

— Tak mówią karty i zboże i kawa — orzekła Pytia. I zamilkła.

Czyż może być rekurs od kart, zboża i kawy razem wziętych? — Maman uważała, że nie, ale Pytia pośpieszyła z wyjaśnieniem.

— Zagłada przyjdzie z Północy! — orzekła. — Lodem spłynie zniszczenie i lasy będą płonąć...

Maman przypomniała sobie ostatni list Solange: „zimą jestem wśród lodów i śniegów, latem wśród lasów..."

— Więc co ma robić moja biedna córka? — jęknęła.

— Wracać! — zasyczała wróżycha. I, przesądziwszy tak sprawę, pospieszyła do dalszych studiów.

— Również nie pojedzie pani do córki zrodzonej w marcu! — rzekła po chwili. — Widzę głód! Miasta płoną od jednego morskiego brzegu po drugi morski brzeg. Płoną te, co już płonęły i te, które jeszcze nie zaznały ognia z nieba.

— Biedna wyspa brytyjska — westchnęła maman (to Renée przyszła na świat w marcu). Ale co moja córka ma robić?

— Wracać! — powtórzyła Pytia. I znowu zajrzała we wszechwidzące fusy od kawy:

— Nie pojedzie pani do córki zrodzonej w maju — osądziła. — Tam kończy się już dzień białych, a nadchodzi Czarny Dzień.

— Co to znaczy Czarny Dzień? — zagłowiła się maman.

— Murzyni, albo nie wiem już co — zinterpretowała wróżka. I maman pomyślała o biednej Marie Claire, której mąż ma kłopoty na plantacji w sercu Konga...

— Ma pani syna! — przerwała wróżka.

— Mam! — ucieszyła się maman.

— Ale i do niego pani nie pojedzie — uspokoiła Pytia. — Widzę tam krew na piasku i krew na nożach.

Zatem odpadło i Marokko... Ale w tym miejscu karty, zboże i kawa uchyliły nareszcie rąbka nadziei...

— Pani ma jeszcze córkę urodzoną we wrześniu.

— Mam — westchnęła maman.

— Czemu pani do niej nie pojedzie?

— Do niej? Jak to do niej? Przecież tam zawsze było najgorzej!

— Karty i zboże nic o tym nie wiedzą! — odczytała wróżka, a kawa mówi wyraźnie, że tam będzie rosło życie.

— Ależ tam tylko gruzy...

— Niech pani sama odczyta — zdenerwowała się wróżka, wskazując na układ asa i damy coeur oraz tłustego króla karo — jasne! Widzi pani, jak się to zboże skupiło? Widzi pani tu dwa wiry na dnie. Nie ma najmniejszej wątpliwości. Ze wszystkich dzieci pani tej jednej będzie najlepiej.

I dlatego, w parę tygodni później, gandawska maman wyładowała się na Okęciu„ w sam dzień urodzin Geneviève.

— Cholera nadała te wróżki — mruczał potem tylko Kleofas.

**Ksawery Pruszyński**

P.S. A jednak nawet sprytna wróżka więcej rozumu posiada, aniżeli nasza emigracja.

ALEKSANDER PUSZKIN

# Bajka o popie i jego parobku Jołopie

przełożył JULIAN TUWIM

*OD TŁUMACZA*

*„Prelest' niewoobrazimaja" — pisał o tej bajce Gogol w liście do Danilewskiego w listopadzie r. 1831. Słyszał ją w Carskim Siole w wykonaniu samego Puszkina. Napisał ją poeta przypuszczalnie w r. 1830, w Bołdinie. Za jego życia bajka o popie nie mogła ze względów cenzuralnych być drukowana. Ale i po śmierci Puszkina do r. 1882, zamiast popa występował w utworze... kupiec („Kupiec-Ostołop").*

*Gogol słusznie ocenił tę bajkę (tytuł brzmi w oryginale „Skazka o popie i rabotnikie jewo Bałdie") jako „prelest' niewoobrazimuju". Zachwycającym wdziękiem i dowcipem tchnie ta ostra satyra społeczna. Napisał ją Puszkin w stylu tzw. „rajesznych stichow", celowo prymitywnymi środkami artystycznymi, arytmicznie, „antymetrycznie". Jak się tak można wyrazić. Tylko rymy świadczą o przynależności tej czarującej gadaniny do rodzaju wierszopisarskiego, ale i one, tu i ówdzie, są świadomie częstochowskie. Za polski odpowiednik „rajesznika" można uważać oracje gratulacyjne, wygłaszane przez starostów weselnych. Przytacza je m. i. Kolberg.*

*Sporo wad w tym przekładzie — wad nieuniknionych z powodu niezwykłej formy utworu i trudności oddania w bratnim wprawdzie, ale jakże różnym języku, właściwości folklorystycznych i językowych oryginału.*

*O ile mi wiadomo, „Bajka o popie i jego parobku Jołopie" tłumaczona jest na język polski po raz pierwszy.*

Był raz pop,
Głupi, jak czop.
Chodził pop po jarmarku,
Kupiłby jakiego towarku.
Rozgląda się wokoło,
Patrzy — idzie Jołop,
Idzie przed siebie,
A dokąd — sam nie wie.
„Wczesny ptak z dobrodzieja. Czego szukasz?"
Pop mówi: „Potrzebny mi parobek: kucharz,
I żeby jednocześnie
Był za koniucha i cieślę,
A gdzie znaleźć takiego
Robotnika niezbyt drogiego?"
Mówi Jołop: „Będę ja ci służył pilnie,
Gorliwie i bardzo usilnie,
Rocznie za trzy prztyczki w twój czub,
A jeść będę sam warzony bób".
Zaczął pop medytować,
W głowę się skrobać,
Bo to trzeba odróżniać prztyk od prztyka...
Ale co tam! Ryzyka - fizyka.
Mówi pop do Jołopa: „Zgoda.
Obydwu nam będzie wygoda.
Pomieszkaj ty w moim obejściu trochę,
Pokaż swoją ochotę i robotę".
Mieszka Jołop u popa, wiedzie mu się przednio,
Śpi na słomie, je za czterech, robi za siedmiu.
Jeszcze ciemno na dworze,
A Jołop już zaprzęgnie, zaorze,
W piecu napali, narychtuje wszystko, zakupi,
Jajeczko upiecze i sam obłupi.
Popadia się nachwalić nie może parobka.
Popówna tęsknym oczkiem zerka na Jołopka,
Popiątko mówi mu: tatku, cacy!
On kaszą chłoptasia karmi, niańczy go po pracy.
Tylko pop Jołopa nie lubi,
Nigdy go nie przyhołubi,
O zapłacie myśli często-częściutko,
Czas ucieka, termin blisko-bliziutko.
Nie je pop, nie pije, drzemki nie ucina,
Już zawczasu mu trzeszczy łepetyna.
Idzie pop do popadii, powiada:
„Tak to i tak. Co nam robić wypada?"
Babski rozum, wiadomo, sprytniejszy,
Na chytrości rozmaite wymyślniejszy.
„Znam ja sposób", powiada popadia,
„Żeby od nas ta nieprzyjemność odpadła.
Zadaj mu robotę niemożebną,
A żądaj, żeby ją wypełnił na pewno.
Tym sposobem od rozprawy głowę zbawisz
I Jołopa bez zapłaty odprawisz".
Poczuł się pop weselej,
Na Jołopa zaczął patrzeć śmielej.
Jak nie krzyknie: „Chodź tu, głupi chłopie,
Mój parobku wierny Jołopie!
Słuchaj: mam umowę z diabłami,
Że mi będą myto płacić do mojej śmierci samej.
Dobry dochód, nie trzeba lepszego
Ale od trzech lat nie płacą grosza złamanego.
Jak się najesz swojego bobu,
Ściągnij mi z diabłów całkowity niedobór".
Jołop nic nie odpowiedział,
Poszedł nad morze, na brzegu siedział.
Zaczął tam kręcić postroniec
I w morzu moczyć drugi koniec.
Wylazł z morza stary Bies:
„Czego tu, Jołopie, chcesz?"
— Chcę tutaj morze postronkiem marszczyć
I was, plemię przeklęte, martwić.
Stary Bies pomarkotniał naraz:
„Za co, powiedz, taka niełaska na nas?"
— Jakże za co? Nie wpłacacie daniny,
Przepuściliście, sobaki, trzy terminy.
Ale teraz będzie inna zabawa:
Wielkie przeciwieństwo idzie na was. —
„Jołopciu, nie marszcz morza, miej litość.
Zapłacimy tobie pełną należytość.
Czekaj, wyślę do ciebie wnuka".
Jołop myśli: „tego zwieść nie sztuka"
Wypłynęło przysłane biesiątko,
Zamiauczało, jak głodne kociątko:
„Witaj, chłopku Jołopku, witaj,
Jakiego ci trzeba myta?
Nic o mycie nie słyszeliśmy dotąd
Ominął nas, czartów, ten kłopot.
Ale weźmy tak: bez namowy,
Tylko z naszej wzajemnej umowy,
Żeby już na przyszłość był spokój:
Kto wpierw morze obiegnie wokół,
Ten pełne myto zarobi,
A tymczasem się tam worek przysposobi".
— Zaśmiał się na to Jołop szydersko:
„Także coś wymyśliłeś: Niepodobieństwo!
Jakże tobie się mierzyć galopem
Ze mną, ze starym Jołopem?
A to ci mi posłali chwata!
Poczekaj na mojego młodszego brata".
Jołop zaraz do lasku się przeszedł,
Złapał dwa zajączki — i w mieszek.
Znowu nad morze przychodzi.
A biesiątko tam sobie chodzi.
Jołop za uszy trzyma jednego zajączka:
„Tak teraz tańcuj, jak ja ci pobrzdąkam.
Ty, biesiątko, jeszcześ dzieciątko,
Ze mną mierzyć się niemogątko,
Byłaby to tylko czasu strata,
Przegoń najpierw mojego brata.
Raz, dwa, trzy! Prędzej!!"
Już biesiątko za zajączkiem pędzi.
Biesiątko brzegiem morza, po piasku,
A zajączek do domu, do lasku. —
Aż tu, morze dokoła obiegłszy,
Przyleciało biesiątko, nosem wietrzy,
Całe mokrzuteńkie, ledwo dyszy,
Łapką się wyciera, a język wisi.
Dobra jest! — myśli — zgnębiłem głuptaska.
Ale patrzy — a głuptasek braciszka głaska,
Przygadując: „Braciszku mój, serdeńko,
Zmęczyłeś się, biedaczku, odpocznij maleńko".
Biesiątko posmutniało,
Ogon skuliło, całkiem spotulniało,
Patrzy na braciszka z ukosa.
„Czekaj" — mówi — „pójdę, myto przyniosę".
Poszedł do dziadka. Mówi: „Źle!"
Młodszy Jołop przegonił mnie!"
Stary Bies zadumał się zaraz,
A Jołop w taki wrzask, hałas,
Że się całe morze zakłębiło,
Rozruchało się, falami biło.
Wylazł wnuczek: „Dałbyś pokój, miej litość,
Przyślemy tobie całą należytość,
Ale słuchaj, kmiotku: oto pałka dębowa,
Wyznacz cel, jaki się tobie podoba:
Kto tę pałkę dalej rzuci,
Ten z pełnym mytem do domu wróci.
Co? Boisz się o rączki delikatne?
Na co czekasz?" — „Czekam na chmurkę, o — na tę.
Trafię ją tym patykiem
I zacznę z wami diabłami bijatykę".
Zlękło się biesiątko — i do dziada,
O jołopiej przewadze opowiada.
A Jołop znowu wrzeszczy nad morzem
I diabłom grozi powrozem.
Znów biesiątko wylazło: „I na co ci to?
Chcesz? Damy tobie pełne myto".
— Nie, mówi Jołop,
Odwróciło się koło:
Sam teraz warunki przedkładam
I tobie, wciornaski, robotę zadam,
Zobaczymy, jaka twoja siła:
Widzisz — tam — siwa kobyła.
Ty tę kobyłę podźwig
I ponieś z pół wiorsty choćby.
Poniesiesz kobyłę — myto już twoje,
A nie poniesiesz kobyły — ono, znaczy się, moje.
Bies — szast!
Pod kobyłę wlazł,
Natężył się biedaczek,
Naprężył się nieboraczek,
Dźwignął kobyłę, dwa kroki stąpnął,
Na trzecim upadł, nóżki wyciągnął.
A Jołop mówi: „Gdzieś tam, durny biesie, wlazł,
Żeby znaleźć nas?
Nawet rękami nie potrafiłeś,
A ja, popatrz, nogami poniosę kobyłę".
Skoczył na nią Jołopek aż miło,
Wiorstę tak przecwałował, że się kurzyło.
Zlękło się biesiątko — i do dziada,
O takowym zwycięstwie opowiada.
Nie ma co — zebrali czarci wszystkie myta,
Niesie Jołop worek na plecach, zębami zgrzyta.
Zobaczył go pop — skoczył za popadię,
Łydki mu się trzęsą, ledwo ze strachu nie upadnie.
Tam go Jołop dopadł,
Oddał myto, zapłaty żąda od popa.
Biedny pop,
Głupi, jak czop,
Czuba nadstawił,
A Jołop mu trzy prztyczki sprawił:
Od pierwszego
Skoczył pop do sufitu samego,
Od drugiego
Zapomniał języka rodzonego,
A od trzeciego
Powypadały klepki ze łba starego.
A Jołop przygadywał: „Niech cię Pan Bóg kocha!
Nie węszyłbyś popie, gdzie taniocha".

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

# Krótkie opowiadania

## Akcja mięsna

Obywatel magister Zasada nie lubił piątków. Uważał piątek za swój feralny dzień, wszystkie drobne kłopoty i zmartwienia, jakie mogą człowiekowi obrzydzić życie, omijały go konsekwentnie przez cały tydzień po to, żeby mu zatruć ów parszywy dzionek.

Tego piątku postanowił wyzwać los. Posłał przed południem szofera do Teatru Nowego po dwa bilety na sobotnie przedstawienie „Zemsty Nietoperza". Zwykle w sobotę wieczór wybierał się w towarzystwie żony do kina na amerykańską komedię filmową (oburzał się później głośno na bezideowość i płaski dowcip hollywoodzkich obrazów), albo do teatru muzycznego na wesoły spektakl z tancerkami. Filmy radzieckie oglądał rzadko, wychodził z seansu napuszony i pewny siebie, jak gdyby przed chwilą podziwiał na ekranie własną osobę. „Skoro istnieją tacy ludzie, mądrzy, odważni, zdolni do największych poświęceń — myślał skrycie, to znaczy, że jestem do nich podobny, a jeśli nie jestem, szanuję ich przynajmniej". W niedzielę oprowadzał małżonkę po Warszawie, pokazując jej odbudowane gmachy (spójrz, dziecko — mówił — cośmy zrobili w ciągu tych lat), albo wsadzał ją na statek i płynęli Wisłą do Młocin.

Z niepokojem oczekiwał powrotu szofera. Spodziewał się, że przyjedzie z pustymi rękami. Ale szofer przywiózł bilety i Zasada, zaskoczony wyjątkową łaskawością słonecznego, piątkowego dnia, sposępniał na dobre. Przerzucając niedbale papiery, rozsypane na biurku i paląc jednego papierosa za drugim, przygotowywał się wewnętrznie na spotkanie przykrości, która musiała się zjawić, ażeby zgodnie z tradycją okupić nadmiar porannego szczęścia.

Punktualnie o godzinie trzeciej, gdy już zapakował akty do teczki i zdjąwszy z wieszaka modne sombrero szykował się do wyjścia, zapukał do jego gabinetu sekretarz koła Z. Z.

— Obywatelu kierowniku — powiedział — związek deleguje was w charakterze czynnika społecznego do akcji mięsnej. Za dziesięć minut powinniście być na odprawie w dzielnicowej radzie narodowej.

Nie sprzeciwiał się, bo nie leżało to w jego naturze. Wsiadł do auta, wściekły, że nie zje w porę obiadu i tylko myśl „stało się" sprawiała mu niejaką ulgę.

Gdy wszedł na salę konferencyjną, zebranie już się rozpoczynało. Podpisawszy listę obecności, szukał wolnego krzesła w ostatnim rzędzie: zawsze w takich sytuacjach sadowił się na szarym końcu. Znalazł miejsce przy oknie, za którym samotna gałąź (nie umiałby powiedzieć, czy to klon, czy kasztan, drzew nie rozróżniał) wabiła oko, odcinając się jasną, delikatną zielenią od wypalonych murów przeciwległej kamienicy. Tak przywiązał się do widoku tej gałęzi, że przepuścił prawie cały referat przewodniczącego. Usłyszał tylko zakończenie.

— Niektórzy rzeźnicy podkupują woźniców — mówił przewodniczący. — Furgon zajeżdża przed sklep takiego pana dopiero po ósmej i mięso przez tylne drzwi wędruje do piwnicy. Żeby ukrócić te spekulacje, mobilizujemy czynnik społeczny do asystowania furgonom na trasie. Kto na ochotnika?

W pierwszych rzędach zgłaszali się masowo. Zasada schował się za szerokimi plecami i wygolonym karkiem robociarza w skorzanej kurtce, który także podniósł rękę.

— Dziękuję — rzekł przewodniczący. — A teraz wyczytam obywateli, delegowanych przez koła przy instytucjach.

Zasada usłyszał swoje nazwisko.

— Jutro o godzinie szóstej wieczorem stawicie się obywatele przed rzeźnią miejską.

Diabli wzięli teatr, pomyślał ze strasznym żalem. W piątek nie trzeba załatwiać biletów. Ale nazajutrz przed wymarszem na akcję był mile podekscytowany. Zastanawiał się gorączkowo, w co się odziać. W szafie wisiały trzy garnitury, wszystkie w doskonałym stanie. Wybrał czwarty, spoczywający na poręczy krzesła: gabardynowe spodnie, uszyte dopiero wiosną i sportową marynarkę z angielskiej wełny. Włochaty płaszcz kąpielowy, w którym paradował po mieszkaniu, odwiesił w łazience.

Do rzeźni udał się taksówką. Obita blachą pokrywa furgonu, którym miał podróżować przez miasto, zachlapana była bydlęcą posoką. Woźnica, wysoki drab w zakrwawionym fartuchu, zaproponował mu jazdę na koźle.

— Wie pan co? — powiedział Zasada. — Niech pan jedzie powoli, a ja się przespaceruję obok wozu.

Skręcili w pustą uliczkę. Woźnica przypatrywał mu się z drwiącym uśmiechem.

— No co, nie siada pan? — spytał nagle. — W takim tempie rozwieźlibysmy towar akurat o północy.

I widząc niezdecydowaną minę Zasady, zaciął konia. Zdaje się, że źle zrobiłem, pozwalając mu uciec, myślał magister w drodze do domu. Ale przecież szkoda spodni.

## Prywatna inicjatywa

W barze „Karioka" grube muchy, odurzone dymem z papierosów, który rudymi pasmami słał się pod sufitem, kleiły się do ścian, obitych spleśniałą tapetą w drobne kwiatuszki, albo, bzyknąwszy leniwie nad stolikami, przysiadały na łańcuchu staroświeckiej lampy o zaciągniętych pajęczyną szybkach. Pulchna dziewczyna w czepku, obramowanym tanią koronką, królowała za bufetem. Kelner wymiatał odłamki szkła z loży, gdzie z posapywaniem trącano się kieliszkami i nucono „wierzby płaczące".

Przy stoliku obok okna mężczyzna w żółtej marynarce w prążki popijał piwo. Przed nim wódka, wylana z przewróconej butelki, wsiąkała w obrus, obsypany płatkami róży, więdnącej w brudnej szklance. Jego towarzyszka, młoda kobieta o podłużnych jak śliwy zielonkawych oczach z odwiniętymi rzęsami, powleczonymi tuszem, siedziała nad lampką wina z dłońmi splecionymi pod brodą jak gwiazdy amerykańskiego ekranu na reklamowych fotosach. Kosmyk popielatych, jedwabistych włosów spadał jej na czoło.

Za szybami wystawy, na której zakąski w porcelanowych rynienkach wysychały pod działaniem słońca, wznosił się okrągły kiosk, oblepiony afiszami. Ukośny cień wpełzał na czerwonawe ogłoszenie z listą rozstrzelanych poprzedniego dnia zakładników.

Dwaj żołnierze Wehrmachtu przesunęli się za witryną. Kobieta cofnęła się w kąt otomanki.

— Boisz się? — spytał mężczyzna.

Spokojnie wychłeptał resztkę piany z kufla i wytarł serwetką mięsiste wargi.

— Boisz się? — powtórzył z uśmiechem.

— Chodźmy stąd — nieśmiało zaproponowała kobieta.

— Nie widzę potrzeby.

Poślinił opuszki sękatych, krótkich palców i zaczął ugniatać kulkę z okruszyn chleba, wałęsających się na obrusie.

— Było mi dobrze wtedy — powiedział. — Miałem pieniądze.

— Teraz także masz pieniądze — rzekła kobieta. — Masz dużo pieniędzy. Kupiłeś mi mieszkanie.

— Wtedy mogłem ci kupić trzy mieszkania. Nie znałaś mnie. Opowiadałem kawały. Dzisiaj nie opowiadam kawałów.

Czknął głośno.

— Nie zrozumiesz tego. Ja jestem człowiek subtelny. Wtedy sprowadziłem sobie fortepian. Uczyłem się grać, stary koń, stary koń. Uderzenie mam fantastyczne. Ja potrzebuję ludzkiego szacunku. Wtedy mnie szanowano.

Kobieta zanurzyła we włosach smukłe palce z polakierowanymi na kolor krwi paznokciami. Cienkie bransolety ze srebra zadźwięczały na przegubie opalonej ręki.

— Ja ciebie szanuję — rzekła.

— Ty musisz mnie szanować! — wrzasnął mężczyzna. — Ty jesteś zwyczajna zdzira. Myślę o kimś z towarzystwa.

Kobieta pogmerała w zamszowej torbie, wydobyła puderniczkę i szminkę w kapsułce z białego plastiku i odymając usta, rozsmarowywała na nich świeży karmin.

— Do widzenia — powiedziała, pakując kosmetyki.

Pozwolił jej wstać; uśmiechał się złośliwie, gdy szła w stronę drzwi. Wodził wzrokiem za brązowymi, zgrabnymi nogami w ślicznych pantoflach na korkowym obcasie. U wyjścia przystanęła. Ugniatał kulkę z chleba, czekał. Wróciła do stolika, usiadła, wypiła jednym haustem wino i delikatnie drapiąc włochatą, zaciśniętą pięść mężczyzny, przypatrywała mu się spod zmrużonych rzęs. Na jej letniej sukience pyzate kwiaciarki tkwiły wśród koszów z goździkami w cieniu różowych i błękitnych parasoli.

— Zamówić coś? — spytał facet w żółtej marynarce. Drgała mu szczęka.

— Ciastko.

Wezwał kelnera. Niemieccy żołnierze znowu pokazali się za szybą. Prowadzili chłopca w kraciastej koszuli. Wlókł się z podniesionymi rękami. Ukośne słońce oświetlało jeszcze róg czerwonego afisza z listą rozstrzelanych zakładników. W barze ospale brzęczały muchy.

— Wtedy lepiej zarabiałem — powiedział mężczyzna. — Ale nie o to idzie. Teraz także zarabiam. Chromolę pieniądze w gruncie rzeczy.

— Nie mów tak — zaprotestowała kobieta. — Pieniądze to dobra rzecz.

— Wtedy ludzie mnie cenili — ciągnął facet w żółtej marynarce. — Inteligentni ludzie mnie cenili. Miałem chody w...

Przechylił się przez stolik i szepnął kobiecie coś do ucha.

— Rozumiesz? Ja sobie dzisiaj także dam radę. Skąd biorę forsę na te... na te obiadki? Panie starszy, płacić. Głowa, dziecinko, głowa na swoim miejscu. Ale ja jestem stworzony do czegoś lepszego. Wtedy wszyscy mnie zapewniali, że jestem stworzony do czegoś lepszego.

Kobieta schrupała napoleonkę. Gdy wyszli z lokalu, oddział hitlerowców maszerował środkiem jezdni, śpiewając. Przed jedną z bram gestapowski oficer siedział na składanym krzesełku. Czytał „Życie Warszawy". Minęli samochód ekipy filmowej, która na tej ulicy kręciła epizody do wielkiego obrazu z czasów okupacji i wmieszali się w tłum kibiców.

Krzysztof Gruszczyński

EWA KORZENIEWSKA

# NIEPOROZUMIENIE

W posłowiu do „Dwudziestu lat literatury polskiej“ Markiewicz stwierdza, iż „aktualna wartość książki Fika leży w tym, że jest ona jedyną trafną charakterystyką dwudziestolecia“. Trudno nie zgodzić się z tym, że istotnie jest ona jak dotychczas niemal jedyną próbą jakiejś syntezy, co powinno zwiększać nasz krytycyzm i zaostrzać wrażliwość na jej braki. Markiewicz stwierdzając, że jest to trafna charakterystyka tego okresu, nie poprzestaje na tym pochlebnym określeniu i mówi: „Książka Fika daje czytelnikowi — obok wnikliwego spojrzenia na całość literatury — dużą ilość informacji szczegółowych“, a dalej: „Jędrne, dobitne zdania, wolne od najlżejszego nalotu frazeologii i efekciarstwa, nazywają rzeczy po imieniu i nieomylnie trafiają w sedno, kilkoma słowami zakreślają wyrazisty kontur omawianego zjawiska... Zdecydowana postawa teoretyczna Fika określa jego zdecydowany, męski sąd literacki“ itp. itp.

Gdyby istniała już obecnie inna historia literatury tego okresu, sprawa nie wyglądałaby groźnie. Publicystyczny szkic Fika na pewno z pożytkiem można przeczytać, szanując przekonania autora i szlachetny ton walki o ideowy typ literatury. Jednakże obecnie, w braku innych opracowań, książka ta stanie się na pewno rodzajem podręcznika dla nauczyciela, który zechce zeń czerpać potrzebne informacje i oceny zjawisk literackich. Mógłby on po wywodach Markiewicza przypuszczać, że „Dwadzieścia lat literatury polskiej“ daje nie tylko obraz literatury tego okresu, ale że jest opracowaniem, wyrastającym z metody marksistowskiej i ustalającym zgodne z nią kryteria oceny. Tymczasem — trzeba to powiedzieć jasno i od razu — książka ta, poza kilkunastu teoretycznymi sformułowaniami, określającymi osobisty pogląd na świat autora, jest właściwie zupełnym zaprzeczeniem prac o charakterze socjologiczno-marksistowskim.

Socjologiczna metoda interpretacji wymaga przede wszystkim rozpatrywania utworu literackiego jako całości, powiązanej nierozerwalnymi węzłami z podłożem społecznym i historycznym. Wymaga związania utworu z ideologią pisarza, który żyje w określonym historycznie środowisku; wymaga badania dzieła, jako całości, odtwarzającej, za pomocą środków sobie właściwych, prawdę ówczesnego życia. To są te postulaty z którymi, choćby w wąskim zakresie, liczy się nawet tak zwany wulgarny socjologizm, porównujący „obraz życia“ w utworze z życiem otaczającego świata.

Metoda socjologiczna musi poza tym uwzględniać z dużą dozą odpowiedzialności dialektykę rozwoju i pokazywać zjawiska literackie w ich związku z dynamiką życia. Stąd wynika postulat chronologicznego, a nie tematycznego rozmieszczania materiału w opracowaniach naukowych.

To, co robi, zresztą z dużą werwą publicystyczną, Fik, jest zaprzeczeniem wszystkich tych podstawowych założeń metody marksistowskiej. Fik rozplanowuje swą pracę według zagadnień i tematów. W odniesieniu do prozy, takich tematów — nie wiadomo na jakiej zasadzie — wylicza czternaście. Są tu zagadnienia takie, jak: historia, wojna, państwo, proletariat, wieś, ziemiaństwo i mieszczaństwo, regionalizm, egzotyzm, fantastyka, religia, życie codzienne, dziecko i młodość, kobieta, miłość, psychologia. Z równym powodzeniem można by ich wyliczyć znacznie mniej lub znacznie więcej. Czuje to sam autor, mówiąc na przykład, że „nowością w tematyce regionalistycznej jest opiewanie jazdy na nartach“, a więc, jak mamy prawo przypuszczać, nowy temat, który mógłby stać się jednym z tytułów rozdziału.

Ta „metoda“ omawiania zjawisk literackich prowadzi do niewiarygodnych konsekwencji. Oto np. w rozdziale zatytułowanym „Proletariat“ autor rozróżnia trzy kategorie pisarzy „w zależności — jak mówi — od ich sposobu podejścia do zagadnienia“. Są to „populiści“, socjaliści i różnego rodzaju indywidualiści. Populiści zajmują się proletariatem, jako zjawiskiem obyczajowym. Tu autor wymienia grupę „Przedmieście“, Zawieyskiego „Gdzie jesteś przyjacielu“, Grabowskiej „Żółty dom“, Wolicy „Ulicę Ogrodową“, Brzozy „Dzieci“ itp.

Pisarze indywidualiści — jak stwierdza Fik — dla różnych celów zabierają się do tematów proletariackich. Przedstawicielem tego kierunku ma być Kaden-Bandrowski. Wohnut, Weynert, Rostworowski („Przeprowadzka“ i „U mety“), Rusinek, Tuwim.

Z trzecią grupą sprawa wygląda najbardziej nieprawdopodobnie, bo właściwie w toku pisania przestała istnieć. Na str. 102 autor stwierdza: „Jest zjawiskiem zastanawiającym, że powieściopisarze o wyraźnym światopoglądzie socjalistycznym nie podejmują tematów o proletariacie“.

W rezultacie takiego układu materiału spotykamy wprost niezwykłe zestawienia nazwisk i tytułów. Oto na str. 123 w rozdziale „Regionalizm“ Fik stwierdza, że „Poznań upodobał sobie krakowianin Sztaudynger. Nieciekawy Borszczów Podolski wprowadza do poezji St. Pommer... okolice świętokrzyskie J. Koprowski, całą zaś Wielkopolskę wynajął dla swej muzy najsroższy regionalista Helsztyński, który nie przepuścił żadnego kamienia ni epizodu historycznego“. Po wymienieniu jeszcze kilkunastu nazwisk autor dodaje: „Nie można wreszcie zapomnieć o wzruszającej książce Żeromskiego „Puszcza jodłowa“...

Ten sam pisarz pojawia się oczywiście w tych rozdziałach, których tematykę obejmują jego utwory, a więc np. Kaden-Bandrowski występuje w rozdziale pod tytułem „Wojna“, ponieważ napisał „Piłsudczyków“, w rozdziale zatytułowanym „Państwo“, gdyż wydał „Generała Barcza“ i „Mateusza Bigdę“. Do rozdziału „Proletariat“ pozwalają go włączyć „Czarne skrzydła“, w rozdziale „Wieś“ jest ze względu na „Mateusza Bigdę“. Oczywiście, ponieważ napisał „Miasto mojej matki“ znajdzie się w rozdziale „Dziecko i młodość“, a do rozdziału „Psychologia“ uprawnia go cała twórczość.

Rezultaty są już chyba oczywiste. Żadna osobowość pisarska nie zostaje nawet naszkicowana. W ogóle nie widać związku pomiędzy życiem i ideologią pisarza a jego twórczością. Zresztą twórczość potraktowana jako suma tematów nie jest żadną twórczością.

Z takiego postawienia sprawy wynika brak jakiegokolwiek wartościowania. Stąd obok siebie stoją nazwiska i tytuły prawdziwych pisarzy i jakichś żałosnych grafomanów, których nawet kilkutysięczno-stronicowa historia literatury Czachowskiego nie uważa za słuszne wzmiankować.

Książka Fika nie daje żadnej wiedzy o pisarzach, nie daje wiedzy o utworach, bo informacja o temacie nie mówi jeszcze nic o tym, czym jest i jaką wartość posiada utwór literacki.

Charakterystyka poezji, poza ogólnie znanymi informacjami o grupach poetyckich — również sprowadza się do omówienia tematyki. Tu autor nie wykazuje wiele samodzielności, powołując się na klasyfikację Czernika. Ponieważ taka „statystyka tematów“ stanowi niewątpliwe curiosum, warto ją przytoczyć: „Kalendarz, pory roku, pory dnia, zjawiska atmosferyczne — stanowią 17% tematyki poetyckiej. Życie — 14%. Regionalizm — morze, góry — 11%. Przyroda, zoologia, botanika — 10%, erotyka — 7%, estetyka, słowo, własna poezja — 7%, religia, poezja świąteczna — 8%, historia, Piłsudski, wojna — 4%, podróże — 3%, klęski społeczne, nędza, bezrobocie, głód, inwalidztwo, żebractwo, prostytucja, wyzysk — 2,5%, opisy wsi i życia na wsi — 2,5%, urbanistyka — 2%, technika — 1%, sport — 1%, szpital, lekarze — 0,5%, wojskowe — 0,5%“. „Ten stan rzeczy charakteryzuje Fik za Czernikiem — jako ucieczkę od niedoli człowieka do zachodu słońca“.

Życie i śmierć Fika dały wyraz prawdzie i szczerości jego postawy ideologicznej. Kilkadziesiąt sformułowań teoretycznych i świadomość celu, o który walczył życiem i pracą publicystyczną czyniły zeń w okresie przedwojennym jednego z nielicznych pisarzy, który śmiało szedł przeciw prądowi i walczył o nowe formy istnienia i nowy typ badań literackich. To wszystko nie świadczy jednak o tym, jakoby Fik zdobył i zastosował trudne kryteria metody socjologicznej do badań literatury dwudziestolecia międzywojennego. Książka jego, której fragmenty cechuje błyskotliwa inteligencja — nie jest żadną syntezą literatury tamtych lat.

**Ewa Korzeniewska**

ALEKSANDER KULISIEWICZ

# Polska w dzisiejszej poezji czeskiej

Mało wiemy o utworach poetyckich, dramatach czy beletrystyce czeskiej, inspirowanych w okresie przedwojennym tematyką polską. Nieliczne wyjątki (jak Miriam, Hulka-Laskowski, J. Wiktor, K. S. Jaworski, J. Pogonowski, K. Alberti, Adolf Fierla, A. Bronz i inni) utrzymywały wprawdzie osobisty kontakt z poszczególnymi autorami czeskimi, ale kontakt ten ograniczał się jedynie do tłumaczeń lub do popularyzacji literatury czeskiej, nie wnosząc z żadnej strony wartościowszych, oryginalnych utworów, łączących się tematycznie z Polską czy Czechosłowacją.

Zmianę przynosi dopiero okres od 1940 do 1945 — okres obozowej, więziennej, w ogóle okupacyjnej poezji czeskiej, w której manifestuje się gorączkowa wprost ciekawość dla wszystkiego, co polskie. Niestety o setkach tych czeskich wierszy, powstałych w licznych obozach koncentracyjnych (przede wszystkim w Oranienburgu, Buchenwaldzie, Dachau i w Gross-Rosen, gdzie zgrupowane były najliczniej transporty Czechów i Polaków) — wiemy dziś bardzo mało. Nikt dotąd w Polsce nie zajął się tego rodzaju archiwizacją. Rzecz jasna, że utwory „obozowe“ przedstawiają raczej wartość dokumentarną niż literacką. Częstokroć pisali je ludzie, nie mający ani przedtem ani potem nic wspólnego z poezją — pomimo to jednak właśnie tutaj, na gruncie wspólnych przeżyć dokonało się pierwsze zbliżenie, pomost dla dalszych, literackich już zainteresowań.

Z bardziej znanych młodszych poetów czeskich pisali w tych czasach o Polsce Milos Vaczik (autor lirycznego cyklu pt. „Biała Kalwaria“) oraz znany dziś krytyk teatralny Jirzi Hajek. Drugi z nich, pod wrażeniem widzianej w Oranienburgu egzekucji 34 Polaków, stworzył wstrząsający wiersz pt. „Trzydziestu czterem“ („34“). Inny więzień, student farmacji z Brna, Jirzi Maleczek zaczętą w 1939 roku w więzieniu morawsko-ostrawskim „Balladę o czerwonym węglu“ („Ballada o cervenym uhli“ — częściowo zachowana), uzupełnił w Gross-Rosen a następnie w Buchenwaldzie. Z obozu tego już niestety nie wrócił. Treścią ballady są słowiańsko-polskie prawa do Ziem Zachodnich. Węgiel zdobyty krwią słowiańskiego „hawierza“ („havirz“ — górnik), płynie Odrą i czerwieni się, jak sztandar zemsty, w rdzawo zachodzącym słońcu:

...slunce Tve kouka, a kouka,
Odra Vam spiva: doczkam...
(...słońce Twe patrzy i patrzy,
Odra Wam śpiewa: czekam!...)

✤

Pierwszym poetą czeskim, który w kilka lat później pisał o powojennej Polsce, był również były więzień niemieckich obozów koncentracyjnych — Jan Pilarz (ur. 1917). Nawiązał on serdeczną przyjaźń z wieloma przebywającymi z nim w Oranienburgu więźniami-Polakami; studiował „organizowaną“ nieoficjalnie literaturę polską, uczęszczał na nasze „wieczorki“ — badał język. I tak lata wspólnej niedoli stały się bodźcem do wydania pierwszej po wojnie antologii poezji polskiej pt. „Pochodnie“ (1947).

Poza tłumaczeniami, polska tematyka zaczyna przenikać do oryginalnej twórczości znanych pisarzy czeskich. Maria Pujmanowa — autorka „Przeczucia“ i „Ludzi na rozstaju“ napisała sześć lirycznych utworów o powojennej Polsce. Zwłaszcza widok olbrzymiego składu włosów, tragiczne pozostałości żywego kiedyś człowieka — wstrząsnął nią głęboko. W swoim kalendarzyku zapisała tylko jedno zdanie: „Łazarz na marach z martwych by powstał!“. I jeszcze przed opuszczeniem naszych granic, kiedy w Zebrzydowicach o północy czekaliśmy dość długo na odjazd przepełnionego pociągu — zrodził się wzruszający wiersz z polskim tytułem: „Do widzenia“. Znajdujemy w nim reminiscencje z Muzeum:

...gdyby ożyli, rozwarli oczy,
gdyby znów dzieci przywdziały kierpce,
gdyby dziewczęcy profil uroczy
puklami włosów śnić dał w rozterce,
gdyby popioły powstały z pieców —
Łazarz na marach z martwych by powstał!

✤

Najwybitniejszym poetą czeskim, czerpiącym dzisiaj natchnienie z kultury i piękna sąsiedzkiej Polski, jest — obok J. Pilarza i Fr. Nechvatala — autor „Getta w kamieniach“, kierownik literacki Radia Czechosłowackiego, Franciszek Branislav. Branislav debiutował w tej dziedzinie, tradycyjnym wierszem „Pozdrowienie dla Polski“, wygłoszonym w radio z okazji otwarcia Tygodnia Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej.

Branislav wywodzi się z wielkiej generacji poetów czeskich 1900 roku, która wydała m. i. Vitezlava Nezvala i Jerzego Wolkera. Przed wojną wydał trzy tomiki poezji: „Biały krąg“ w 1924 roku — już po śmierci serdecznego przyjaciela Wolkera, „Na skrzydłach wiosny“ (1933) i „Wieczną ziemię“ (1939), w którym poza żalem za utraconą niepodległością Czechosłowacji znajdujemy akcenty zbliżającej się katastrofy.

Polskę widział Branislav po raz pierwszy w 1926 roku, kiedy był na wakacjach w Zakopanem. Drugi raz zobaczył ją po 22 latach. Wrocław, Warszawa, Poznań... Warszawa — pisze Branislav w wierszu pod tym samym tytułem — jest jak „pierścień na wpół rozdarty, leżący nad brzegiem Wisły“ — jak ściana, której cegły palono dwa razy: ogniem cegielni, a drugi raz piekielnym żarem Wojny. Każdą cegłę, którą schwyci do ręki, musi przycisnąć do serca: wibrują w niej jakby tony jedynej i nieśmiertelnej muzyki Chopina.

„Wszak jego serce również zamurowano w ścianę“ — usprawiedliwia swój gest poeta.

Polska — mówi gdzie indziej — posiada dwa morza: jedno zastygłe pod Czarnym Śląskiem, zaklęte i milczące, gdzie „światła lampek górniczych przypominają rybki w czarnym akwarium“ — drugie morze: żywe, roześmiane, „głosami tysięcznych bałałajek fal“.

W innych wierszach kreśli wdzięk i bohaterstwo kobiet polskich („Polske żeny“, 1948), trud powszedni rolnika („Piseń“, 1949), piękno krajobrazu, który na druty telegraficzne rzuca w takt rozpędzonego pociągu białe pęki konwalii: jak tony partyzanckiej piosenki na papier nutowy („W pociągu“, 1949). Porównania Branislava są bardzo ciekawe. Każdy utwór maluje inaczej dobrana „okrasa“ rytmiczna czy onomatopea. Weźmy np. taki „Krakov“ (1948):

...Za kamenitou bramou Barbakan,
neoklaman kamkoli kdo vylakan.

Niesposób tego słowo w słowo spolszczyć. Dosłownie brzmiałoby to mniej więcej: „Za kamienną bramą Barbakan — nie rozczarowany jest ten, kogo dokądkolwiek (Kraków) wywabi“.

✤

Zanim przejdziemy do omówienia stosunku młodszej generacji poetyckiej do Polski, wymienić należy jeszcze jedno nazwisko wybitnego poety czeskiego Franciszka Nechvatala (ur. 1905), który ogłosił dotąd dwa wiersze o tematyce polskiej: „Święto Morza“ (1948) oraz „Koncert Chopina“ (1949). Język Nechvatala jest śpiewny, wyrazisty, przy tym prosty i zrozumiały nawet dla polskiego ucha. Nie ma „drewnianej“ gmatwaniny skrzeczących spółgłosek, jak np. w przysłowiowym czeskim zdaniu: „Strcz prst skrs krk“. Wierszy Nechvatala, które przywędrowały w latach 1940 — 1944 nielegalną drogą do Sachsenhausen, uczyli się młodzi Polacy po czesku na pamięć — tak były piękne i bliskie. Pamiętam po dziś dzień końcowy fragment jednego z nich, jaki najczęściej recytowano w gronie zaufanych. Poeta zwraca się do swojej ziemi ojczystej, do Moraw:

Neposeczeny luh a nezorane pole;
tak mi tie zvierzil Buh, ty moje piskle hole,
diravou sukni masz, placziva husopasko:
med steka ze Tvych ust, me kochani, ma lasko...

Jakie słowa sprawiają tutaj trudność polskiemu czytelnikowi? Najwyżej dwa: luh (łąka) i laska (miłość).

✤

W ubiegłym roku oprócz Franciszka Nechvatala, który pełni obecnie funkcję attaché kulturalnego przy ambasadzie czechosłowackiej w Warszawie, gośćmi Związku Zawodowego Literatów Polskich byli dwaj młodzi literaci czescy: Sergiej Machonin i poeta Michał Sedlon (ur. 1919). W Sopocie powstał bogaty cykl żywo pisanych, morskich wierszy Sedlonia. Są to satyry, wiersze „filozoficzne“, liryki, reportaże,— a nawet pierwszy czeski erotyk do Polki pt. „Obraz“. Z 24 pozycyj ambitnego poety, tworzących cykl o Polsce, dziesięć dotyczy beztroskich wakacyjnych wspomnień.

Nazwisko Michala Sedlonia znaliśmy dotąd w Polsce z jednego tylko przekładu, zamieszczonego w „Dzienniku Literackim“ („Pozdrowienie dla ludu polskiego“ — tłum. Adam Włodek, 1949).

✤

Na zakończenie tego pobieżnego przeglądu młodych poetów czeskich, wyrażających się z entuzjazmem o powojennej Polsce, należy wymienić jeszcze jedno znane nazwisko: Jaromir Horec. Jest to naczelny redaktor Mladej Fronty; w Warszawie bawił w ubiegłym roku z okazji Kongresu Zjednoczeniowego ZMP. „Gorejąca ziemia“ wiersz, drukowany w brnieńskim „BLOKU“ (1946) a potem w „Dzienniku Polskim“ (1947), posiada zwięzłość, wycyzelowaną omal do maksimum:

Widziałem transport.
Ścięgno jednego z martwych
było nadgryzione.
Było to ludzkie mięso.
Były to ludzkie usta.
Było to szaleństwo.
Było to mięso jak każde inne.
Był to człowiek.

Jakżeż inaczej i o ileż bardziej optymistycznie w kilka lat potem pisze Jaromir Horec o odbudowie kraju, o której tyle słyszy się w Czechosłowacji.

Oto siedmiu bardziej poczytnych poetów czeskich, członków nowoutworzonego Związku Literatów Czechosłowackich, którzy usilnie propagują w swych utworach idee zbliżenia czechosłowacko-polskiego oraz opisują osiągnięcia powojennej Polski. Oczywiście lista ta nie wyczerpuje wszystkich pisarzy czeskich, którzy piszą o Polsce.

Na podstawie zebranych materiałów można powiedzieć, iż w okresie od 1945 — 1949 powstało ponad sto utworów czeskich o Polsce. Warto by było je zebrać w dobrze zredagowanej, wyczerpującej antologii.

**Aleksander Kulisiewicz**

JERZY BROSZKIEWICZ

# KSZTAŁT MIŁOŚCI

*Cóż wiesz o pięknem? Kształtem jest miłości*
Cyprian K. Norwid („Prometidion“)

rysunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

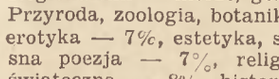

A w końcu owe domowe, przy przyćmionych światłach manifestacje wzruszenia wywodzą się także z rutyniarskich metod. Tyle, że tutaj sam Fryderyk razem ze słuchaczami upija się nastrojem, chwilą, oraz romantyczną egzaltacją, którą tak pięknie rozpala burgund lub szampan. Oczywiście od koncertowego obyczaju ani od przyjacielskich namów uchronić się nie da. Trzeba się z improwizacją pogodzić — weszła zresztą w nałóg nie tylko słuchaczy, lecz i Fryderyka, każdy zaś kielich dolewa z reguły wina do ognia. Raz na zawsze jednak zerwać należy z nadzieją, że do dzieła sztuki dojdziesz małym kosztem, szklanką wina. Tęsknota za prawdziwym obrazem życia, do uchwycenia którego tak żarliwie dążysz, musi przeradzać się w trudną i żmudną, szlifierską pracę — właśnie w pracę.

I tak jak w przedsennych, bajkowych marzeniach znalazł się morał, morał szlachetny — tak samo w trochę fałszowanej poezji improwizatorskich natchnień odkryjesz w końcu jeszcze bardziej szlachetny morał: najwyższy szacunek dla pracy szlifierskiej.

Od pierwszych swych dni Fryderyk dbał o właściwy wybór swych idei. Uciekał od form i gatunków grożących powtarzaniem cudzych myśli — od paplania muzyki jak za panią matką. Życie jest ciągłym ruchem, ciągłym stawaniem — perorował z pasją Maurycy — więc historia wymaga ciągle nowych świadectw swego rozwoju. Panowie klasycy zakłamali prawdę o człowieku, o świecie, o miłości, o ludzie, o cierpieniu. I wszystkie dziecięce smutki Frycka, dumne chwile ucznia liceum, późniejsze dyskusje, bezsenności i spacery na Powiśle — oto etapy walki o prawdziwe widzenie wszystkich tamtych zakłamanych spraw. Drogę do szukania prawdy wskazali wielcy mistrzowie, dziś jednak pora na nowe odkrycia — życie jest także nowe. Mamy rok 1829!

O swojej pasji formowania w sobie prawdziwej idei życia Fryderyk mówi rzadko i skromnie — że: introdukcja oryginalna (więcej niż ja cały z bajowym surdutem), że: coś tam chcę napisać w nowym (czy swoim) sposobie. Ale za takimi słowami kryje się nie inna treść, niż w wymownych, bezkompromisowych artykułach Maurycego. Tu sprawa jest jasna i zamknięta.

Teraz zaś — w walce z zasadą „improwizatorskich natchnień“ — dokonuje się jeszcze jedna sprawa: ustalanie w sobie troski o formę. Nie jest wykluczone, że uczeń racjonalizmu, pan Mikołaj, ponosi tu pewną zasługę. Wpoił w syna szacunek dla krystalicznej czystości sposobów wypowiadania się — do końca życia wzorem owej czystości będzie dla Fryderyka wolterowska proza. Wszystko się tu zatem łączy i uzupełnia. Z szacunku dla treści wypływa najczulsza troska o formę. Fryderyk nie ma zamiaru notowania całego bałaganu swych natchnień — nie lubi metafizyki, nie lubi romantycznych rozwichrzeń i gadulstwa. Te cechy romantyczności już dziś odrzuca raz na zawsze. Dlatego właśnie rękopisy nowych kompozycji rosną powoli, wśród skreśleń, poprawek, korekt, redakcji, powrotów i odwrotów — dlatego rok 1828 był głównie rokiem ciężkiej, trudnej i żmudnej szlifierskiej pracy. Nie inna też jest wiosna roku 1829. Czasami cała noc przynosi w darze zaledwie kilka taktów. Bywa i tak, że owe kilka taktów następny wieczór każe po prostu — skreślić.

To samo dzieje się w pracy Fryderyka Chopina — fortepianisty. Tytuł pierwszego pianisty Warszawy, — to mało. Ręka jest drobna, lecz zdumiewająco zwinna, chwytliwa i szybka — palce słabe, lecz nieomylne.

Mało — ciągle mało!

Ten, któremu naiwna, młodzieńcza pycha dyktuje marzenia o trybrzydki — chudy, z ptasią, ostrą twarzą. W głębokich oczodołach oczy „jettatora“ — uroczne. Włosi wysuwają w jego stronę dwa palce i żegnają się. Paganini, jak mówią księża, podpisał muzyczny pakt z diabłem i dlatego gra tak pięknie — tak nieziemsko. Diabeł stroi mu skrzypce i kieruje smyczkiem — szepcą damy, siedzące w lożach Narodowego Teatru.

Mniejsza o bzdury! Koncertów Paganiniego nie zapomni Fryderyk nigdy. Maurycy, pisząc o „niezrównanym, wielkim, niepojętym“ artyście postawił sprawę tak, jak dyktowała prawda i jak podszepnął mu — w czasie wielkiej, toczonej z umfach w największych salach Europy wie dobrze, iż nie łatwa będzie walka o sławę z Hummlem, czy Kalkbrennerem. A czasu do rozrywki pozostało niewiele. W lipcu tego roku student Szkoły Głównej Muzyki, Fryderyk Chopin, kończy swe studia. Pora w świat — mówi Elsner. Tak samo myślą rodzice. Książę Radziwiłł ofiarowuje finanse — przyjaciele dyskutują nad wyborem trasy: w którą stronę Europy zwrócić należy pierwsze kroki?

W maju Warszawa przeżywa wielkie święto: imperator Mikołaj zjeżdża na koronację. Niech żyje król!

Muzycy mają też swoje święto: Niccolo Paganini zjeżdża na koncerty. Niech żyje Paganini!

Paganini jest zdumiewająco Dobrzyńskim dyskusji — sam Fryderyk: „Skrzypce w ręku Paganiniego są naczyniem psychicznym, instrumentem duszy; i zdaje się rzeczywiście, jakoby nie miał innego sposobu rozwinięcia tego, co się w niej działo... opowiada przed ludem historię swojego życia tonem, dźwiękiem i śpiewem i wynosi na jaw, co przedtem nikomu nie było znane...“.

Tak — nie jest najważniejsze to, ile nut staccato na jeden smyczek bierze wielki Paganini, ani jakie ma flageolaty. Fryderyk nie zapomni jego koncertów dlatego, że Paganini pierwszy ukazał mu wzór artysty, co nie koncertuje, nie popisuje się cudami techniki, w których nikt nigdy mu nie dorówna — Paganini jest poetą, zaś jego instrument elementem wspaniałej poetyki. Maurycy pisał dalej tak: „zamknął on w grze swojej summę minionych uniesień z młodości... złożył w niej treść przeszłych uczuć, przeszłych cierpień, przeszłych namiętności“.

Ze sceny Teatru Narodowego szły w ciemną widownię fale wzruszenia, któremu nikt nie umiał i nie chciał się oprzeć — był to Wielki Przypływ Poezji.

Fryderyk na pierwszym z koncertów stał pod ścianą elsnerowskiej loży, tamując oddech.

Po koncercie uciekł przyjaciołom nad Wisłę.

Z północy szła burza — rzeką spływały błyskawice, dudniąc w trzech stronach świata, jak bitwy.

### O TRZECH MIŁOŚCIACH

Podróż nadarzyła się całkiem niespodzianie. Czterej znajomi młodzieńcy — Brandt, Celiński, Rube i Maciejewski — od dawna nosili się z planem wojażu na Wiedeń, Pragę i Drezno. Wyjazd został uplanowany na koniec lipca, zaś Hube podczas jednej z wizyt u Chopinów pochwalił się bliską podróżą. Wszyscy rozwarli szeroko oczy, gdy pan Mikołaj poważnie oświadczył, że w takim razie Fryderyk pojedzie z nimi. W trzy, czy cztery dni pełne gorączkowego pośpiechu wszystko zostało załatwione — pierwszy list z drogi przyszedł w sierpniu, już z Wiednia. Była tam mowa o drodze — a więc o Krakowie, o wycieczce do historycznych grot Ojcowa, dalej o pięknej Galicji i ślicznym Bielsku. Dyliżans szybko mijał miasta Górnego Śląska i zielonej Morawii („od Krakowa jechaliśmy separatwagonem“) — na koniec zadudnił na dunajskim moście.

*(Dalszy ciąg nastąpi)*

no ▾ FILM ▪ kino ▾ FILM ▪ kino ▾ FILM ▪ kino ▾ FILM ▪ ki

ZBIGNIEW PITERA

# OBRACHUNKI WENECKIE

Jasne jest, że tegoroczny urodzaj na festiwale filmowe nie świadczy bynajmniej o żadnym rozkwicie czy też jakimś nadzwyczajnym zainteresowaniu prawdziwą sztuką filmową w krajach marshallowskich. W gruncie rzeczy moda na festiwale to jeden z bardzo atrakcyjnych sposobów przyciągania bogatych turystów z całego świata i umiejętnego dostarczania im okazji do pozbycia się zapasu waluty, tak bardzo potrzebnej w zmarshallizowanej Europie Zachodniej.

To czego świadkami byliśmy przed kilku tygodniami w Wenecji może służyć za wzór tego typu imprezy. Wobec silnej konkurencji Knokke le Zoute, Locarna i Cannes organizatorzy festiwalu starali się nadać mu jak najbardziej imponujące rozmiary. W Wenecji i na Lido odbywały się:

Wenecja — plac Św. Marka

festiwal filmów fabularnych, festiwal filmów dziecięcych, festiwal filmów specjalnych (naukowych, oświatowych, instrukcyjnych, reportażowych itp.), pokazy kostiumów filmowych, pokazy mody jesienno-zimowej, kongres filmologów, konkurs piękności samochodów, zjazd klubów filmowych, zjazd techników filmowych, wystawa malarstwa kościelnego Belliniego, gale w luksusowym hotelu z udziałem gwiazd filmowych, coś w rodzaju wyścigu w workach na plaży w Lido itd. itd.

Turyści dopisali. Wszędzie było rojno, tłoczno i gwarno. Zapasy dewiz zostały przelane na konta bankowe wielkich koncernów hotelowych, głównych sprężyn organizacyjnych wszystkich tych przedsięwzięć, z wystaw kupców weneckich zniknęło nareszcie trochę drogiego towaru niedostępnego dla przeciętnych tubylców, którzy musieli zadowolić się napiwkami.

A sens i wartość kulturalna tych imprez?

Oczywiście — Bellini jest mistrzem i możność obejrzenia jego dzieł to nielada satysfakcja dla znawców sztuki i miłośników starego malarstwa. Wenecki pałac dożów czaruje i zachwyca. Ale pałac filmowy ze swymi spektaklami i wyfioczoną publicznością rozczarowuje i zasmuca kinomanów.

Obserwujemy bardzo głęboki kryzys tematyki filmowej. Autorzy w poszukiwaniu surowca scenariuszowego, który dawałby okazję do podekscytowania widowni, schodzą na bezdroża albo — idąc po najmniejszej linii oporu — tworzą nowe, zupełnie już nieciekawe wersje starych, banalnych, ogranych historyjek. Zmienia się przy tym tylko zewnętrzne akcesoria. Reżyserzy dokonują cudów ekwilibrystyki, czepiając się każdego pretekstu, który mógłby im służyć za punkt wyjścia do popisania się mniej lub więcej efektownym chwytem realizatorskim. Wyciskają najbardziej jałowy temat jak cytrynę. Po prostu — męczą się.

Oglądamy więc dramaty rozgrywające się w domu obłąkanych, opowiedziane ze wszystkimi klinicznymi detalami i wtajemniczeniem widza w arkana nowoczesnej psychiatrii, sfilmowane bardzo naturalistycznie — jak np. „Kłębowisko węży" (USA). Po raz któryś tam z rzędu wkraczamy w mury domu poprawczego dla dziewcząt i musimy śledzić zawsze ten sam konflikt złej przełożonej i grupy sympatycznych choć zbłąkanych owieczek — raz w wydaniu francuskim („W królestwie niebieskim"), drugi raz zaś w niemieckim („Dziewczęta za kratami"). Bezskutecznie próbuje nas wzruszyć zaprawiony ekspresjonizmem eskapizm („Portrety Jenny") i łzawy, niby realistycznie podany sentymentalizm („Johnny Belinda"), podniecić brutalna sensacja sportowo-erotyczna („Champion"), zabawić niegustowna, w szmirowate dekoracje oprawiona technikolorowa rewia („Look for the silver lining") — wszystko w kasowym, pod gust publiczki przykrojonym wydaniu amerykańskim. Jeżeli chcemy śledzić współpracę literatury z filmem, możemy zwrócić się tylko do angielskiego „Elusive Pimpernel" wg. powieści baronowej Orczy lub francuskiej „Manon" wg. Prévosta.

Filmowi „Manon" trzeba poświęcić parę słów, bo otrzymał on wielką nagrodę festiwalu za „mistrzostwo, z jakim reżyser Henry Georges Clouzot przeniósł na ekran utwór Prevosta". Akcja tej bardzo śmiało, bezceremonialnie uwspółcześnionej wersji „Manon" rozpoczyna się w chwili wyzwolenia małego miasteczka we Francji przez wojska aliantów i oddziały partyzanckie. Wśród kollaboracjonistek, którym ludność chce ogolić głowy, jest młodziutka Manon. Dziewczyna zostaje aresztowana i dwukrotnie próbuje zbiec sama. Ucieczka udaje się dopiero za trzecim razem, gdy Manon ucieka wraz z pilnującym jej partyzantem, który zostaje jej kochankiem. Akcja toczy się kolejno: w środowisku czarnogiełdziarzy, spekulantów, stręczycieli, w domu schadzek. Kochanek Manon dusi sznurkiem jej brata, wreszcie oboje uciekają statkiem wraz z nielegalnymi emigrantami do Palestyny. Manon jest gotowa płacić za bilet w naturze. W czasie przeprawy przez pustynię dziewczyna ginie od kuli arabskiej. Cały ostatni akt filmu wypełnia wędrówka jej amanta wśród piasków z trupem Manon w różnych pozycjach — na plecach. Bohater opada z sił, ale wlecze efektownie obnażone ciało dziewczyny ze sobą za nogi, w końcu grzebie je w piasku, ale zostawia twarz umarłej odsłoniętą. Po dłuższym przemówieniu — sam umiera.

Zrealizowany jest ten film bardzo dobrze z właściwym Clouzotowi zamiłowaniem do ukazywania całej nędzy i upadku moralnego, na który stać człowieka po ostatniej wojnie— ale jeżeli mamy cokolwiek powiedzieć o roli sztuki filmowej w dzisiejszym społeczeństwie, to decyzja włoskiego jury, podporządkowanego wpływom rządowo-klerykalnym wydaje się co najmniej żenująca. Poza tym Clouzot nie ma zbyt czystej karty z okresu okupacji.

Takiej konkurencji nie mógł oczywiście wytrzymać nasz „Dom na pustkowiu" reż. G. Rybkowskiego wg. noweli J. Iwaszkiewicza. Przy „Manon" i „Kłębowisku węży" był po prostu filmem z innego świata, ze świata ludzi normalnych, zdrowych fizycznie, umysłowo i moralnie, myślących kategoriami społecznymi, umiejących się znaleźć wśród wydarzeń ostatniej wojny, przeżywających wszystko bardzo prosto i po ludzku, uznających bliskie każdemu ideały. Wszystko to okazało się prawdopodobnie dla panów z jury festiwalowego za mało dojrzałe, nieaktualne i nieatrakcyjne. Niepisany regulamin pozwalał widocznie nagradzać albo filmy o prostytutkach i chorych umysłowo, albo — o świętych. Ludzie normalni nie są dziś w cenie.

Taką opowieścią o świętej był dwukrotnie nagrodzony film włoski „Niebo nad błotami" reżyserii znanego na terenie filmowym faszysty Augusta Geniny. Jest to, jak głoszą komentarze do filmu, autentyczna historia młodej wieśniaczki z błot Pontyjskich, która „po południu dnia 5 lipca 1902 r. została zamordowana przez napastującego ją parobka. Dziewczyna ofiarowała się, by wytrwać w cnocie".

Udramatyzowanie tej krótkiej biografii nie jest przekonywające i ofiara bohaterki wydaje się całkowicie pozbawiona motywów moralnych, koniecznych przecież, gdy chodzi o postępowanie człowieka, który ma być kanonizowany — gdyż usiłujący uwieść dziewczynę osobnik traktuje ją cały czas brutalnie, nieludzko a upór wieśniaczki nosi cechy nie świadomego czynu, lecz zachowania się biednego, przerażonego zwierzęcia. Reżyser nie oszczędził nam przy tym w scenie morderstwa tak drastycznych szczegółów, jak kurczowego zaciskania nóg przez nieszczęśliwą dziewczynę. Jeżeli zaś chodzi o rzekomo realistyczny charakter filmu, to mamy tu najwyraźniej do czynienia z falsyfikatem. Historia jest autentyczna, więc reżyser dla nadania filmowi wartości dokumentu stara się naśladować chwyty powojennej szkoły włoskiej. W filmie jest dużo pleneru, wiele, nawet zbyt wiele uwagi poświeca się odmalowaniu środowiska, role obsadzone są nie przez aktorów, lecz przez prawdziwych chłopów — ale we wszystkim widać inscenizację, pozę, film jest słabo grany, akcja dłuży się i rozłazi. Mimo to Genina otrzymał nagrodę za najlepszą reżyserię, a film spełni niewątpliwie swe zadanie: przyśpieszy kanonizację bohaterki...

Gdy mowa o reżyserii, trzeba z przykrością stwierdzić, że zawiodły najlepsze nazwiska. Julien Duvivier, twórca znakomitego obrazu „U schyłku dnia", robił co mógł, by uczynić film „W królestwie niebieskim" zajmującym i prawdziwym. Wyżywał się w scenach buntu dziewcząt w domu poprawczym i obrazach powodzi, która zalewa kościół i naprzód pomaga a potem przeszkadza parze bohaterów w ucieczce. Ale dramat o zacięciu problemowym nie może być utworem wykoncypowanym wyłącznie przy biurku scenarzysty. Widz umieszcza go zawsze w jakiejś określonej czasem i przestrzenią rzeczywistości. Tymczasem Duvivier już na wstępie filmu zaznacza, że wszystko co nam pokaże jest wyimaginowane. I dlatego większe wrażenie pozostawiał społecznie podmalowany i poprawnie zrobiony film niemiecki na ten sam temat „Dziewczęta za kratami".

Jean Delannoy, twórca „Symfonii pastoralnej", pokazał nam dzieje jeszcze jednego trójkąta miłosnego, przeniesionego w środowisko lotnicze pt. „Na fali wspomnień" z Michèle Morgan w roli głównej. Michèle Morgan była znakomita w „Symfonii". Znamy ją jako aktorkę b. subtelną, dojrzałą i głęboką. Ale jej rola w nowym filmlie Delannoya tchnęła pustką i piękne zbliżenia aktorki były nic nie mówiącym popisem operatora. Jeszcze raz sprawdza się maksyma, że dobry reżyser i dobra aktorka — to za mało. Potrzebny jest przede wszystkim dobry pisarz — scenarzysta.

G. W. Pabst wystąpił z melodramatem produkcji austriackiej pt. „Tajemnicza głębia", który spóźnił się co najmniej o 15 lat pod względem atrakcyjności tematu, a o 25 jeżeli chodzi o chwyty formalne (secesyjność i symbolizm niektórych scen). Gwizdy po i w czasie filmu były całkowicie zasłużone.

Znacznie ciekawiej wypadł film niemiecki reż. R. A. Stemple pt. „Ballada berlińska", jako pierwsza próba satyrycznego spojrzenia na dzisiejszą rzeczywistość niemiecką. Jest w nim sporo symbolizmu, ale też i momentów naprawdę zabawnych z przytykami pod adresem aliantów. Przy tym wszystkim oczywiście zbyt mało porachunków z własną przeszłością.

Produkcja filmowa mniejszych ośrodków wypadła też zupełnie nieciekawie. Kanada pachnie szmirą. Samodzielna produkcja na jakim takim poziomie prawdopodobnie nie rozwinie się w tym kraju nigdy ze względu na zbyt potężne skrzydła opiekuńcze USA. Film kanadyjski w jęz. francuskim pt. „Człowiek i jego grzechy" ze środowiska wiejskiego grozi amatorszczyzną. Film szwedzki „Ewa" miesza naiwnie kompleksy z tanim erotyzmem. Palestyna, reprezentowana filmem Józefa Lejtesa „Nie ma wyboru" o walce Żydów z Arabami, odczuwa wyraźnie brak środków technicznych. Argentyna wystąpiła z filmem kryminalnym, którego bohaterem jest defraudant. Wpływy amerykańskie widać tu na każdym kroku. Meksyk wypadł słabiej niż zwykle, demonstrując dramat matki i żony „Zle kochana" z wiecznie żywotną Dolores del Rio. Doskonały operator Gabriel Figueroa otrzymał, jak zwykle, nagrodę za zdjęcia. Belgia pokazała długi metraż afrykański pt. „Ekwator o 100 twarzach" i zasłużenie zdobyła nagrodę za najlepszy film dokumentalny. Indie są na poziomie przedwojennego filmu polskiego typu „Trędowatej". Tak przynajmniej sądzić można po dramacie miłosnym rozgrywającym się na dworze maharadży pt. „Meera". Jest to film komercyjnej produkcji, rodzaj operetki, którą w 2/3 wypełniają śpiew i taniec — zresztą oryginalne — nieszczęśliwej wybranki serca potężnego władcy. Bohaterka, która za młodu poświęcona została pewnemu bóstwu i ma z tego powodu dużo kłopotu — śpiewa po każdym, najkrótszym nawet dialogu. Bardzo to nuży, bo dialogów nikt nie rozumie. Dobre są momenty, w których dochodzi do głosu folklor hinduski.

Jugosławia wystąpiła z filmem, którego poziom stał w odwrotnej proporcji do honorów, jakie uczyniono mu na festivalu. Po projekcji bardzo taktownie o nim zapomniano.

Zupełnie przypadkowo trafił na festival film niezależnej produkcji amerykańskiej pt. „Quiet one" („Milczący"), który okazał się bodaj najciekawszą pozycją całej imprezy. Opowiada on wprawdzie także o jednostce nienormalnej, ale widać tu przynajmniej tło, środowisko, kulisy społeczne. Film poświęcony jest problemowi dziecka niezrozumianego, samotnego, żyjącego w udręce. Bohaterem jego jest mały chłopiec murzyński, mieszkaniec Haarlemu, syn włóczęgi i nie dbającej o dziecko matki. Wrażliwy, uczuciowy, odtrącony przez wszystkich, chłopiec włóczy się bez celu i nie mogąc zaspokoić swych małych, zwykłych, dziecięcych pragnień walczy ze sobą; poczyna się w nim budzić nienawiść do otoczenia. Milczeniem pokrywa swą udrękę i strach przed światem. Trafia wreszcie do jakiejś przedziwnej szkoły, gdzie opieka wychowawcy i towarzystwo rówieśników pozwala mu znów stać się normalnym dzieckiem.

To wnikliwe studium duszy dziecięcej zrealizowane zostało metodą reportażową, podobną do słynnej „Zapomnianej wioski". Dzięki temu film przemawia do widza swoim głębokim realizmem; znajdujemy w nim kilka b. pięknie filmowo i trafnie psychologicznie potraktowanych momentów. Sceny przedstawiające życie w dzielnicy murzyńskiej mają wartość społecznego dokumentu. Niezależna krytyka typowała na festivalu ten właśnie film do pierwszej nagrody. Ale niezawodna „Manon" zdystansowała „Milczącego" o jedno miejsce. Była bardziej wymowna.

W dziedzinie komedii Francja pokazała bardzo zabawny film „Dzień świąteczny", w którym popisuje się dobry francuski komik Jacques Tati w roli listonosza wiejskiego, starającego się w amerykańskim tempie wykonywać na rowerze swe czynności. Czemu jednak ten właśnie film otrzymał nagrodę za scenariusz — nikt nie zrozumie. Skoro go było trudno sklasyfikować, mógł przecież otrzymać jakąś specjalną premię. Świadczy to o pewnej beztrosce, z jaką traktuje się jeszcze pojęcie scenariopisarstwa.

Nagrody przyznane Anglii za scenografię i muzykę miały charakter grzecznościowy i nie warto o nich pisać.

Z wyświetlanych poza konkursem filmów wymienić należy doskonały film włoski „Młyn na rzece Po" reż. Alberta Lattuady — sugestywny obraz przenikania idei socjalistycznych do środowisk wiejskich we Włoszech XIX w.

Disneyowską kreskówkę długometrażową „3 caballeros" wyświetlano chyba tylko po to, by wykazać, że włoskie próby w dziedzinie filmu rysunkowego z „Różą Bagdadu" na czele są dziesiątą wodą po Disneyu. Trochę lepsza, też pełnometrażowa kreskówka włoska „Bracia Dynamitowie", mimo złej konstrukcji, zawierała przynajmniej w końcowej części jakieś elementy weneckiego folkloru. Pierwszy film dostał nagrodę — drugi nie.

Cieszymy się, że wśród odznaczonych krótkometrażówek znalazł się znakomity montaż starych rysunków i grawiur „Rok 1848" zrealizowany przez znaną w Polsce V. Spiri Mercanton.

Cóż da się jeszcze powiedzieć o festivalu weneckim?

Związek Radziecki nie wziął w nim udziału.

Jak czytelnik domyśli się ze sprawozdania cały festival nadaje się raczej dla pióra felietonisty i satyryka.

Impreza odbywała się w atmosferze „zaufania, powagi i spokoju". Sprzyjała temu obecność pięknych, wielkich krążowników amerykańskich i angielskich, które raz po raz zarzucały kotwice na wodach dzielących Wenecję od Lido. Jury festivalowe mogło „w ciszy i skupieniu" przyznawać nagrody. W gruncie rzeczy zbyteczny był nawet trud ogladania większości demonstrowanych w pałacu filmowym tysięcy metrów taśmy. Niespodzianki były wykluczone.

Zbigniew Pitera

Donald Thompson — bohater filmu amerykańskiego „The Quiet one"

# Praca przez pryzmat uśmiechu

„Pan Novak" — film produkcji czechosłowackiej. Scenariusz: **E. Dvorzak i B. Zeman.** Reżyseria: **B. Zeman.** Muzyka: **V. Dobias.** W rolach głównych: **J. Plachta (Pan Novak), V. Valentova (Pani Novakova), B. Prchal (Szusta)** i i. Produkcja: **C. S. F. 1949**

„Pan Novak" — jest to komedia w duchu socjalistycznego realizmu. Ten zupełnie nowy rodzaj filmowy podjęła Czechosłowacja, na razie pierwsza i jedyna po Związku Radzieckim. Film został opracowany i wykonany w 100 dni, w ramach „Czynu Zjazdowego" na IX Zjazd Czechosłowackiej Partii Komunistycznej w 1949 r.

Starannie przeprowadzone doświadczenie udało się. Film czechosłowacki, walczący jeszcze nie zawsze zwycięsko z burżuazyjnym melodramatem, odniósł podwójne zwycięstwo. Stworzył bowiem obraz typowo klasowy zarówno w treści jak i w formie, przezwyciężając tradycję najczęściej bezprzedmiotowego i nieodpowiedzialnego humoru mieszczańskiego.

Satyra filmowa niejednokrotnie już krytykowała burżuazję i małomieszczaństwo. Spotykaliśmy dotychczas satyrę na mieszczaństwo, uprawianą przez przedstawicieli tegoż samego mieszczaństwa. Mieszczańskiego satyryka od jego mieszczańskiej ofiary dzielił tylko poziom intelektualny. Zabawa odbywała się w „swoim kółku", w „rodzinie".

Przypomnijmy sobie chociażby komedie francuskie. Często bardzo ostro wykpiwają „strasznego mieszczanina", ale nigdy nie atakują pozycji mieszczaństwa, jako klasy w społeczeństwie. Satyra, która mierzy w indywidualną jednostkę, nie narusza stanu posiadania określonej warstwy. Dlatego też nie jest walcząca, ale statyczna.

Pierwszą walczącą satyryczną komedią filmową, poza radzieckimi, jest „Pan Novak". Kamera ukazuje środowisko burżuazyjne z zupełnie nowej pozycji. Pozycji tej nie cechuje ani „rodzinna" solidarność, ani subiektywne zainteresowanie. Dlatego właśnie „Pan Novak" — to nie antologia humoru o określonym środowisku mieszczańskim. Komedia ta istotnie obnaża warstwę burżuazyjno-urzędniczą. Występują w niej nie jednostki, ale uogólnione typy.

Któż to jest ów Pan Novak, bohater filmu? Urzędnik, prawdopodobnie po ojcu i dziadku. Ma solidne mieszkanie, żonę w kuchni, córkę grającą na fortepianie (która nawiasem mówiąc po kryjomu usiłuje wydostać się z zaklętego kręgu mieszczańskości), no i posadkę w prywatnym biurze. Co Pan Novak najczęściej powtarza? „Nie narażajmy się nikomu!" Jak pracuje? Niesamodzielnie, automatycznie, raczej bezmyślnie, ale zgodnie z kanonami mieszczańsko-urzędniczej rutyny.

Pierwszym dramatem w życiu Pana Novaka jest konieczność zasadniczej zmiany zawodu. Po rewolucji lutowej 1948 r., kiedy rządy ujmuje władza ludowa, ruszają pełną parą fabryki, przemysł, rozbudowa kraju. Brakuje rąk do pracy. Trzeba sięgnąć do bogatych, a dotychczas źle wykorzystanych rezerw ludzkich, do zbyt licznych i mało produktywnych sfer urzędniczych. W biurach pozostaną siły najwartościowsze. Innych wzywa się, aby stanęli przy maszynach.

Nowy prąd, który zmiata z zakurzonych biurek cyrkularze i załączniki, rozbija ustalony schemat życia kilkunastu tysięcy ludzi. W pierwszym odruchu bardzo wygodni i bardzo ograniczeni biurokraci liczą na to, iż wszystko „jakoś tam się ułoży". Prawdopodobnie będzie można dalej w zasiedziałym fotelu, z błogim spokojem, pozwolić się unosić niezbyt groźnej fali życia. Kiedy jednak sytuacja nie przewiduje kompromisu, ta warstwa klasy „panów" buntuje się. Zatrzaskują się z wściekłością drzwi fortec-mieszkań.

Okazuje się, że hasło „Nie narażajmy się nikomu" w myśli uzupełniano: „...oczywiście temu, kto nie podważa naszych uświęconych praw i przywilejów". Jednym z owych przywilejów mieszczańskiego świata było zabezpieczenie przed pracą fizyczną z racji — jak mówią w filmie — „matury albo pieniędzy". Pan Novak, jak większość tego typu urzędników, ma na swoją obronę „maturę".

— Ty, z maturą, masz być robotnikiem? — deklamuje oburzona do głębi jego żona.

Film demaskuje ową „maturę" po prostu jako broń klasową. Wówczas, kiedy Pan Novak zdawał maturę, dzieci robotnicze nie miały wstępu do szkół średnich. „Matura" była symbolem nie — zdobytego zasobu wiedzy, ale przede wszystkim „listem żelaznym" córek i synów burżuazji, który miał ich łatwo poprowadzić przez życie.

Nic dziwnego, że tacy „maturzyści" nabrali żywej pogardy do pracy fizycznej i zawodu robotnika. „Matura" skutecznie oddzieliła „białorękich" od „czarnorękich". Wobec niebezpieczeństwa tak zwanego „zdeklasowania" — „białoręcy" stanęli do walki.

Pan Novak symuluje chorobę. Jego były dyrektor staje się dywersantem i szpiegiem. Niestety, udawanie choroby musi się kiedyś skończyć. Ponieważ pan Novak nie ma dość odwagi na inne formy „samoobrony", przybiera postawę męczennika i zgłasza się w końcu do „przerażającej" fabryki.

I tu film w doskonale zmontowanym skrócie, pełnym trafnych obserwacji, podejmuje dotychczas nigdzie nie poruszany problem porównania pracy fizycznej z tym rodzajem pracy, którą przywykliśmy nazywać umysłową i stawiać wyżej, lecz która w rzeczywistości nie ma nic wspólnego z wysiłkiem mózgu.

Po przymusowym doświadczeniu mieszczański egoista, skostniały, tępy i ograniczony biurokrata odkrywa nowe życie. Przy frezarce trzeba więcej myśleć, niż nad cyrkularzem! W fabryce pan Novak przezwycięża swoje wady: strach przed osobistą odpowiedzialnością, nieumiejętność decydowania, niesamodzielność i niezaradność.

Praca fizyczna, której wyniki zależą jednocześnie od wysiłku umysłu, odradza człowieka, daje mu poczucie niezbędności w społeczeństwie. Daje poczucie mocy życiowej, bo wyniki jej są bezpośrednio widoczne i bardzo łatwo sprawdzalne.

W filmie „Pan Novak" niektórych widzów może niemile uderzyć zwłaszcza końcowa scena. Państwo Novakovie wracają do domu. Zgubili klucz. Żona proponuje wezwanie ślusarza. Pan Novak jednak poznał tajniki ślusarki i zamek otwiera sam.

— Tego urzędnik by nie potrafił! — mówi z dumą w stronę widowni.

Jasne, że film nie dyskwalifikuje tymi słowami rzetelnej pracy umysłowej. Dyskwalifikuje natomiast jałową pracę papierową — taką właśnie, jaką uprawiał przez trzy czwarte swego życia Pan Novak. Film obala anachronizm, przeżytek ze skończonej epoki „maturzystów z dobrego domu", mianowicie przekonanie, jakoby praca robotnika znajdowała się na najniższym szczeblu hierarchii ważności i wartości.

Decyzja ujęcia tego tematu w ramy komedii satyrycznej okazała się szczęśliwa. Wydaje się, że sens zagadnienia w innym ujęciu nie byłby równie przejrzysty, zrozumiały, przekonywający. Śmiech bowiem najłatwiej przełamuje opory nawykowego myślenia. Trafna, bojowa satyra obnaża i przezwycięża zakłamaną treść w uznawanej tradycyjnej formie.

Komizm „Pana Novaka" jest specyficzny. Film nie ogranicza się do ośmieszenia, ale każe w toku akcji przemienić śmiech z bohatera w śmiech do bohatera. Jest to bowiem komedia twórcza, pozytywna, która odsłaniając błędy, piętnując wady, nie uczy nienawiści i pogardy. Przeciwnie, wskazuje drogę przezwyciężenia owych błędów i wad. Zachęca do próby odrodzenia człowieka w pracy.

— Starajmy się ich pozyskać — mówi w filmie jeden z aktywistów robotniczych o nowoprzyjętych do fabryki byłych urzędnikach.

Klasa robotnicza nie odtrąca tych, którzy chcą stanąć pod jej kierownictwem do budowy nowego życia. Wymaga tylko lojalności i głębokiego poszanowania produktywnej pracy. Obalić należy sztuczną granicę między rodzajami pracy, stworzoną dla obrony przywilejów burżuazji. Rzeczywista granica biegnie inaczej: między pracą społecznie użyteczną a nieużyteczną.

Film „Pan Novak" jest mocno osadzony w warunkach czechosłowackich. Dzięki jednak trafnej charakterystyce przedstawianych typowych postaci i zagadnień może odnosić się również i do naszych, polskich warunków.

Jest to nie tylko najlepsza czechosłowacka komedia filmowa po wojnie. Daje nie tylko doskonałą zabawę. Komedia ta demaskuje tysiące **panów** „maturzystów" Novaków i uczy szacunku dla **obywateli** frezerów czy murarzy — na razie tylko po szkole powszechnej.

**Barbara Olszewska**

# JURY IV MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU IM. CHOPINA

*Od lewej:*
*Lew Oborin (ZSRR), Paweł Szczerbakow (ZSRR), Lucette Descaues (Francja), Franciszek Maxian (Czechy), Lelia Gousseau (Francja), Bolesław Woytowicz (Polska), Jan Hoffman (Polska), Magdalena Tagliaferro (Brazylia), Hermandi Lajos (Węgry), Henryk Sztompka (Polska) Zbigniew Drzewiecki (Polska), Dymitr Nenow (Bułgaria), Alfred Mendelsohn (Rumunia), Artur Hedley (Anglia) Blas Galindo (Meksyk), Sem Dresden (Holandia)*

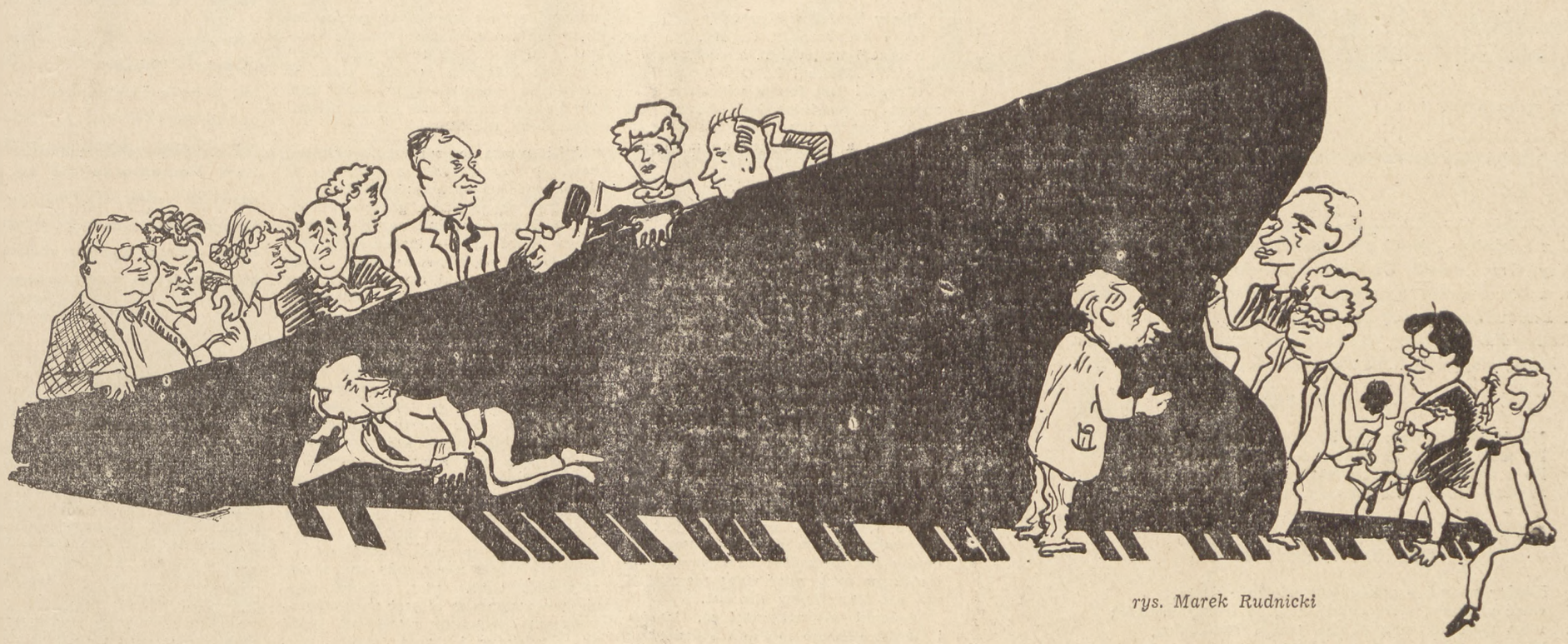

*rys. Marek Rudnicki*

WŁADYSŁAW TOMCZYK

# Królestwo z tego świata

„Poczynając od stosu Savonaroli, a kończąc na potępieniu Lutra — wszyscy, którzy przypominali pysznym, żądnym świeckiej potęgi biskupom rzymskim ducha ewangelicznej tradycji „królestwo twoje nie jest z tego świata" — wszyscy ci podpadali pod ekskomunikę". Tak pisze w swej najnowszej książce Roger Garaudy, komunistyczny członek francuskiej Izby Deputowanych*), filozof, powieściopisarz, esseista.

Dążenie do władzy, które francuski teolog-jansenista i głośny przeciwnik jezuitów, Arnauld, określił jako „herezję panowania" (l'héresie de la domination) — charakteryzuje politykę Watykanu od zarania dziejów papiestwa.

Pierwszym chyba dokumentem historycznym, uzasadniającym tę tezę, jest list papieża Adriana do Karola Wielkiego w 777 r. powołujący się na tzw. „darowiznę Konstantyna Wielkiego", która rzekomo uczynić miała z papieża suwerennego władcę Rzymu. Choć cztery wieki z okładem dzielą Konstantyna od Karola i chociaż w ciągu tego czasu żadne źródło historyczne nie wspomina o akcie darowizny, ani Karol Wielki, ani bodajże i jego poprzednik Pepin Mały, oraz ich następcy, nie kwestionowali zgłoszonych pretensji. Rozmaicie jednak kształtowały się stosunki papiestwa z cesarstwem, czy też z innymi panującymi, rozmaite też były koleje państwa papieskiego.

Feudalni i absolutni władcy świeccy, choć nierzadko pozostawali w ostrym konflikcie z Watykanem czy z rodzimą wysoką hierarchią kościelną — potrafili jednak ocenić walor, jaki namaszczenie na „panującego z łaski bożej" dawało w oczach poddanych. Ten przywilej papiestwo umiało stworzyć i dla siebie zagarnąć. Toteż za cenę względów papieskich warto było tolerować Stolicę Apostolską w rzędzie państw suwerennych. Państwo papieskie przetrwało więc aż do 1870 r. i padło pod naporem późno obudzonej świadomości narodowej burżuazji włoskiej.

Powołane do życia dzięki porozumieniu z włoskim faszyzmem Państwo Watykańskie jest właściwie raczej miniaturą państwa, aniżeli istotną organizacją państwową. Dziś jednak papiestwu nie jest potrzebna dawna forma władzy świeckiej w postaci terytorialnej:

„W XX wieku potęga gospodarcza i polityczna — pisze Garaudy — nie opiera się już na własności ziemskiej, jak to było w feudalnych średnich wiekach. W ramach ustroju kapitalistycznego kontrola bankowości i przemysłu drogą inwestycji kapitałowych daje władzę znacznie bardziej realną, aniżeli własność gruntowa. Dzisiaj papiestwo rozporządza tą właśnie nowoczesną formą władzy świeckiej. Watykan jest bardzo wielką potęgą kapitalistyczną, trustem, lub raczej międzynarodowym olbrzymim holdingiem".

Nie jest rzeczą łatwą określić faktyczne rozmiary tego trustu czy holdingu. Do osobliwości bowiem państwa watykańskiego należy m. i. „tajemnica budżetowa". Stolica apostolska zazdrośnie strzeże swoich dochodów i rozchodów. Dlatego budżetu nigdy nie publikuje. Bogactwa i dochody Watykanu są jednak bardzo wielkie. Garaudy powołuje się na szacunek z 1913 r. wpływów ze „świętopietrza", które wówczas wynosiły rocznie okrągło 3 miliardy franków w złocie. Wylicza też szereg firm bankowych we Włoszech, Francji, Szwajcarii, Stanach Zjednoczonych, które znajdują się w kręgu władzy watykańskiej nie zawsze dlatego tylko, że większość kapitału akcyjnego — to kapitał watykański, często też dzięki temu, że w dyrekcjach czy radach nadzorczych figurują ludzie Watykanu.

W ten sposób Watykan rozporządza np. dwiema trzecimi wszystkich wkładów bankowych we Włoszech — ocenianych na 600 miliardów lirów. We Francji watykańskie inwestycje kapitałowe wyrażają się sumą 200 miliardów franków, w Stanach Zjednoczonych — kwotą 35 miliardów franków, wreszcie w krajach Ameryki Południowej, w Anglii, w Niemczech — wynoszą jakieś 60 miliardów. Ponadto Watykan kontroluje poważne gałęzie przemysłu światowego. Przykładowo: w przemyśle włoskim skupia w swym ręku większość udziałów więcej niż trzydziestu poważnych spółek akcyjnych; w wielu innych — posiada znaczne mniejszościowe pakiety akcyj; Watykan ma niemałe udziały w międzynarodowym truście miedzianym „Anaconda", we francuskim przemyśle naftowym („Compagnie française des pétroles", która eksploatuje koncesje w Iraku) i we francuskim włókiennictwie (70 proc. akcji koncernu „Société textile du Nord").

Jedną z najkorzystniejszych operacji finansowych, jakie zna historia, był układ finansowy Watykanu z Mussolinim w lutym 1929 r. Stolica apostolska otrzymała na mocy tego układu 1.750 milionów lirów, jako... pokrycie szkód wyrządzonych przed pół wiekiem wskutek zjednoczenia Włoch! Czy można się więc dziwić, że tak wdzięcznego dłużnika wynagradzającego nie istniejące, a w każdym razie przedawnione szkody — Pius XI pasował na „męża opatrznościowego".

Czy można się dziwić, że papiestwo, jako wielki posiadacz i przedsiębiorca — cały swój autorytet moralny wśród wiernych i cały swój aparat władzy duchownej oddało na usługi świeckim posiadaczom i przedsiębiorcom. Niepisany układ między stronami przewidywał faworyzowanie watykańskich roszczeń do „rządu dusz" w zamian za czujną straż, by „dusz" nie ogarnął płomień społecznego buntu przeciwko uciskowi klasowemu. Garaudy pisze:

„Z nastaniem władzy burżuazji i ugruntowaniem się ustroju kapitalistycznego „herezja panowania" nabiera nowej treści. Wierzący i niewierzący z klasy panującej poruczają religii misję obrony i usprawiedliwienia ich przywilejów".

Trudno znaleźć jaśniejsze i — trzeba to podkreślić — bardziej szczere wyjaśnienie istoty owego niepisanego układu, niż przytoczone w obszernych wyjątkach przez Garaudy'ego przemówienie hr. Montalemberta we francuskim Zgromadzeniu Narodowym w 1850 r. W tym Zgromadzeniu, które wyszło z wyborów przeprowadzonych po krwawej rozprawie z ludem paryskim w czerwcu 1848 r. — tak mówił ten przywódca klerykałów francuskich i mąż zaufania Watykanu:

„Przysłano tutaj nas, większość, by zwalczać socjalizm, by zwalczać ducha rewolucji..."

„Co stanowi problem dnia dzisiejszego? Wpajać poszanowanie własności prywatnej tym, którzy jej nie posiadają. Nie znam zaś innego przepisu na wdrażanie tego szacunku, innego sposobu, by tym, co nie są właścicielami, kazać wierzyć w własność, jak to jedno tylko: kazać im wierzyć w Boga".

Montalembert szuka obrońców ładu kapitalistycznego. Nie wystarczy mu siła fizyczna, ani nawet armaty gen. Cavaignaca, który „utopił we krwi — jak pisze Garaudy — paryską wiosnę ludów 1848 r.". Montalembert pyta i odpowiada:

„Któż więc broni porządku i własności w naszym kraju? Czy może nauczyciel, od tak dawna psuty i rozpieszczany przez właścicieli lub jak się to dzisiaj mówi — burżujów. Nie, trzeba to wyraźnie powiedzieć — to ksiądz proboszcz". „...dzisiaj proboszcz wiejski, kler w ogóle, kapłani, na których ciąży odpowiedzialność za dusze ludzkie, reprezentują porządek nawet w oczach niewierzących... Reprezentują jednocześnie porządek moralny, polityczny i materialny".

„Wśród tych 30 lub 40 tysięcy proboszczów wiejskich są poniektórzy zarażeni tak zwanym demokratycznym katolicyzmem... lecz w całości jest to armia doskonała, która swoje posłannictwo społeczne wykonuje cudownie".

„Czy wiecie, jak wielką usługę ludowi francuskiemu odda kościół, dzięki wychowywaniu i katechizmowi, jeżeli potrafi odzyskać przynależną mu rolę?

...Kościół powie człowiekowi: Prochem jesteś i całe twoje życie powinno być pełne cierpień i walk, których nagrody nie szukaj na ziemi. Oto co powie społeczeństwu, ludowi... głęboko ugruntuje w świadomości każdego wszystko to, co jest podstawą rządzenia państwami..."

W ten sposób Montalembert przekładał na język polityka - praktyka niezmienną antydemokratyczną naukę i postawę kościoła i papieży. W ten sposób Watykan umacniał władzę burżuazji. I konsekwentnie w imię tych właśnie zasad Watykan i wysoka hierarchia duchowna łamała opory we własnych szeregach. Niższy kler bowiem, który wyszedł z ludu i współczuł jego niedoli, opowiadał się — poczynając od Rewolucji Francuskiej coraz to dobitniej i coraz liczniej — za postępem społecznym, przeciw przywilejom klas posiadających: świeckich i duchownych. W imię tych zasad papieże potępiali wszelkie katolickie ruchy społeczne, które — jak pisze Garaudy — „chciały związać się z masami ludowymi". Papież Leon XIII, ostrzegając robotników chrześcijańskich przed rewolucją i socjalizmem, nakazywał im: „kochajcie swoich pracodawców".

Garaudy na bogatym materiale dokumentarnym wykazuje zbieżność społecznej doktryny encyklik papieskich z „ideami społecznymi" faszyzmu. Zgodność ideologiczna stała się fundamentem współpracy politycznej:

„Papiestwo — pisze —przestrzegało ścisłej „nieinterwencji" wobec „białego terroru" w 1815 r., podobnie jak wobec okrutnego zgniecenia Komuny Paryskiej, podobnie jak w czasie „opiumowej wojny" i masakry abisyńskiej. W przeciwieństwie do tego—wystąpiło szybko i niezwykle srogo przeciwko patriotom w 1789 roku i przeciw bolszewikom w 1917 r...."

Marksista Garaudy analizuje szczególnie dokładnie antykomunistyczną postawę Watykanu i dochodzi do wniosku:

„...papiestwo wybrało swoją drogę: jego królestwo jest z tego świata.

Z tego wyboru płyną konkretne posunięcia polityki rzymskiej i wysokiej hierarchii kościelnej: polityczny sojusz Watykanu z najplugawszymi i najbardziej agresywnymi formami kapitalistycznego imperializmu oraz krucjata antykomunistyczna. Ten papieski antykomunizm jest jednym z epizodów walki klasowej. W niczym nie różni się od kapitalistycznego antykomunizmu; przydaje mu jedynie usprawiedliwienie „duchowej" natury".

To usprawiedliwienie sprowadza Garaudy do następującej formuły:

„Papież wcale nie głosi: zwalczam komunizm, ponieważ uczyniłem z mego kościoła ogromną potęgę kapitalistyczną. Papież powiada: zwalczam komunizm, ponieważ zagraża wierze chrześcijańskiej, ponieważ triumf komunizmu sprowadziłby prześladowania sroższe niż prześladowania Diokleciana".

Garaudy z temperamentem świetnego publicysty i szlachetnym oburzeniem człowieka walczącego o postęp i wyzwolenie z pęt klasowego ucisku — piętnuje tę formułę, jako zwyczajne kłamstwo. Opierając się na wypowiedziach klasyków marksizmu i na praktyce Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej (w szczególności — Polski, której poświęca wiele uwagi) wykazuje, że współpraca wierzących katolików z komunistami „w płaszczyźnie ekonomicznej, socjalnej, politycznej i narodowej" jest w pełni możliwa i w niczym wierze nie zagraża. Nigdy bowiem marksizm nie ogłosił ani nie domagał się prześladowania czy unicestwienia religii. Zawsze natomiast — szczególnie skutecznie i owocnie w okresie hitlerowskiego panowania nad Europą — wyciągał do wierzących dłoń dla szczerej współpracy. Garaudy pisze:

„Marks uczył nas, że religia jest wyrazem ludzkiej niedoli i protestem przeciw niej.

Jesteśmy zbyt bliscy jeden drugiemu, by szydzić z chrześcijanina, który zwraca się do swego Boga, ponieważ pragnie sprawiedliwości, lecz zarazem nie czuje się na siłach, by ją urzeczywistnić.

I pytamy, któż więcej szacunku okazuje religii? Czy ci, którzy wykorzystują to poczucie ziemskiej bezsilności, czy też ci, którzy podzielają to samo pragnienie sprawiedliwości".

W zakończeniu swej książki Garaudy zwraca się z gorącą apostrofą do wierzących Francuzów, z apostrofą, która właściwie skierowana jest do każdego wierzącego w jakimkolwiek kraju. Warto przytoczyć kilka wyjątków:

„Bracie mój, chrześcijaninie, przedstawiliśmy ci stanowisko marksistów wobec religii. Materialiści i ateiści wyciągnęliśmy do ciebie rękę uczciwie, nie ukrywając niczego w naszej nauce, ponieważ jednych i drugich, wierzących i niewierzących trapią te same niedole, uciskają ci sami tyrani, a zarówno jedni jak i drudzy powstajemy przeciw tym samym nieprawościom i łakniemy tego samego szczęścia... Czy zechcesz ją przyjąć? ...Mówimy tobie: „Gdzie są prawdziwi idealiści? Czy w szeregach tych, co służą złotu, czy wśród tych, którzy nim gardzą?..."

...Jeśli godzisz się przyjąć naszą rękę, jeśli pojmujesz nasz apel, jeśli chcesz nam pomóc w budowie nowej Francji — to nie pozwól, by w imię Boga miłości głoszono przeciwko nam ewangelię gwałtu i nienawiści, nie dopuść, by płaszczem chrystusowym pokrywano plugawy antykomunizm, który łamie jedność narodu, oraz zbrodniczą antyradzieckość, która niweczy jedność ludzkości.

Jedno i drugie nie przestało być duszą faszyzmu, który zatriumfował na krótko i żył czas pewien dlatego jedynie, że nas rozdzielił i oszukał".

Książka Garaudy'ego nie jest tylko starannym zbiorem oskarżycielskich faktów i dokumentów. Autor, który podzielił ją na dwie części, nie tylko gromadzi fakty, ale stara się wykryć i przeanalizować podstawy ekonomiczne i polityczne dyplomacji watykańskiej. Tej pracy poświęcona jest pierwsza część książki. Część druga wykazuje fałsz „motywów moralnych", które rzekomo zmuszają Watykan do występowania przeciwko komunizmowi w obronie religii,—dając zarazem przejrzysty wykład stosunku marksizmu i marksistów do wiary i wierzących. Pierwsza część pisana jest piórem historyka i publicysty, druga — piórem filozofa - moralisty. Obie cechuje jasność stylu, argumentacja prosta, szczera i przekonywająca, szlachetny patos prawdziwego humanisty.

**Władysław Tomczyk**

*) L'Eglise, le Communisme et les Chrétiens — Editions Sociales, Paryż, 1949 r.

# Trochę prawdy o strojach ludowych

Miło nam, gdy od czasu do czasu natkniemy się w prasie na skromną wzmiankę, że jakiś zespół artystyczny, taneczny czy chóralny wystąpił ze swoim repertuarem w p i ę k n y c h s t r o j a c h ludowych. Brak jednak w tych wzmiankach informacji, z jak'ego regionu były te stroje, jak przedstawiały się w całości, jakie były ich zestawienia barwne i do jakiej należą epoki.

Gdy będziemy śledzić stroje obecnie pokazywane, dojdziemy do smutnych wniosków, że nie dają one właściwego pojęcia o naszych pięknych, bogatych i malowniczych stro.ach, że n e są takie, jakie być powinny.

Nie ma tutaj miejsca na opis naszych strojów ludowych. Należy jednak zaznaczyć, że nie ma w nich nic przypadkowego; materiał, linia kroju, ozdoby, kolor, spełniają swoją funkcję i wiążą się w konkretną całość. Od czubka głowy aż do stóp, wszystko jest tam przemyślane, ujęte w zwartą całość i przystosowane do warunków danego regionu. Nic tu ująć, ani dodać nie można. Tymczasem, jak wynika z obserwacji, wypowiedzi uczestników zespołów i ilustracji, zamieszczanych w prasie, stroje nasze, w których występujemy, w przeważnej części nie mają nic wspólnego z właściwymi strojami ludowymi (z wyjątkiem góralskich). Zespoły nasze występujące w niewłaściwych strojach, porównywane z zespołami innych narodów na różnych imprezach międzynarodowych, przynoszą nam ujmę. Rażącą tę różnicę wielokrotnie już odczuwali uczestnicy naszych występów.

We Wrocławiu, na Zjeździe Zjednoczonej Młodzieży Polskiej, zwrócili na siebie uwagę „krakowiacy" w kaftanach krakowskich, spod których wyłaniały się spodnie wojskowe „khaki" i „sztylpy", „krakowianki" w krótkich, białych spódniczkach, miniaturowych fartuszkach, obszytych wstążeczkami, w białych tenisówkach i — zamiast koszul — w b'ałych bluzeczkach z nieokreślonymi gorsecikami. Na głowach loczki i „ioczki" dopełniały stroju. Prawie zawsze takie stroje „krakowskie" i inne ludowe, widzimy na zjazdach, w teatrach amatorskich itd.

Niedawno podziwialiśmy w pewnym dodatku ilustrowanym „krakowiaka nad morzem". Miał na sobie szeroki skórzany pas podhalański, przy czapce pawie pióra z wstążkami, umieszczonymi tak, jak nigdy prawdziwy krakowiak nie nosi. Zdarzają się też „hafty" na koszulach i spódnice „łowickie" malowane farbami olejnymi!

Czy należało wysłać do Budapesztu zespół w strojach ludowych i w butach brezentowych, zastępujących długie, czarne skórzane buty? Czy w ten sposób nie obniżamy i nie lekceważymy wartości naszych pięknych strojów ludowych?

Co mówią i piszą sami uczestnicy zespołów artystycznych, biorący udział w imprezach za granicą, dowiemy się np. z głosów, zamieszczonych w miesięczniku „Teatr Ludowy", rok XXXIV Nr. 7—8 na stronie 328:

„Obserwując tańce obce mogliśmy powiedzieć sobie z uczuciem dumy, że takich tańców, takiego bogactwa jak my Polacy nie ma żaden inny naród. W Pradze pokazaliśmy tylko maleńką cząstkę naszych pięknych tańców polskich. Staraliśmy się tańczyć jak najlepiej i podobno tańczyliśmy dobrze. Powinniśmy się cieszyć, ale przez cały czas pobytu w Pradze mieliśmy p r z y k r e u c z u c i e, że mogliśmy zaprezentować się lepiej, że właśnie my, Polacy, nie umiemy docenić walorów naszej kultury ludowej....."

Poniżej na tej samej stronie:

„....nasze zespoły polskie nie ustępowały innym poziomem wykonywanych tańców, ale obniżały swoją pozycję przez brak odpowiednich, bogatych strojów..." Na stronie 329 czytamy:

„Pobyt w Pradze powinien nas wiele nauczyć i już dziś powinniśmy się zastanowić, jak zaradzić w przyszłości różnym brakom przede wszystkim w postaci odpowiednich strojów ludowych".

Poniżej na tej samej stronie:

„Doświadczenie z Pragi powinno być dla nas nauką i p r z e s t r o g ą...."
(Podkreślenie moje).

W miesięczniku „Praca Oświatowa" r. IV—1948 Nr. 5-6-7, na str. 148 czytamy:

„Bogate (czeskie) i piękne ich stroje tonęły wprost we wspaniałych koronkach. ...Świadczy to również o dużym kulcie dla stroju ludowego, który u nas w przeciwieństwie do Czechów — coraz bardziej zanika".

Wypowiedzi powyższe wystarczą, aby zorientować się, jak wyglądamy wśród innych zespołów słowiańskich. Jak i w co ubieramy nasze zespoły artystyczne?

Zazwyczaj, zespół w ostatniej chwili dowiaduje się, że ma wystąpić ze swoim repertuarem w strojach ludowych. I wtedy zaczyna się wydobywać ze skrzyń po wsiach stroje bez względu na epokę, z jakiej one pochodzą, bezkrytycznie kompletuje się brakujące części stroju i na gwałt szyje spodnie nawet ze starych materaców. Czasem kupuje się zły model stroju, na podstawie którego, kopiując niewolniczo, szyje się nowe. Na strój głowy i obuwie nie zwraca się uwagi, loczki i „tenisówki" wystarczą.

W tak sklecone stroje ubieramy nasze zespoły artystyczne i wyprowadzamy na widownię. Taniec, śpiew i strój ludowy stanowią jedną nierozerwalną całość artystyczną zespołu. Żaden z tych elementów nie może być zepchnięty na plan drugi. Strój spełnia bardzo ważną rolę, która w połączeniu z tańcami, śpiewami i muzyką, wprowadza widza w piękny, barwny, nieoczekiwany, pełen blasku świat kultury ludowej.

**Janusz Świeży**

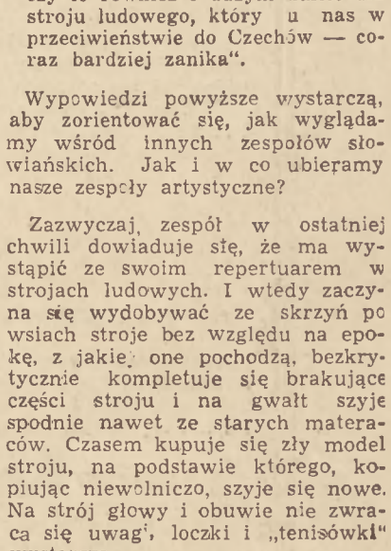


Stron LXX+104 Cena zł 280.—

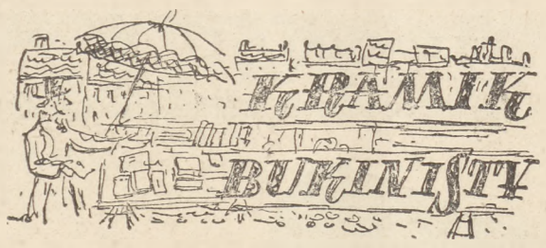


Satyrykom i humorystom współczesnym do sztambucha. Co prawda satyra poniższa pozbawiona jest pieniactwa i docinków osobistych, co prawda „grzeszy" ona głębią i uspołecznieniem — ale czy przez to jest mniej dowcipna?

*Wyjątki z rękopisu: „Antologia Polska, to jest Epigrammata, Nagrobki, Napisy, Grzecznostki, Ucinki i Myśli dowcipne stu z górą pisarzy naszych, zebrane przez Ignacego Piotra Legatowicza, Magistra Filozofii, b. Etatowego Dozorcę szkół: Lepelskiej, Połockiej i Wiłkomierskiej, Kollegialnego Radcę, Kawalera Orderu św. Stanisława trzeciej klasy, mającego znak nieskazitelnej służby za 25 lat".*

### NA KRYTYKÓW

Niech jeszcze dobre niebo tem Polskę obdarzy,
By miała mniej krytyków, a więcej pisarzy; —
Bo z naszem gospodarstwem podobieństwo mają:
Jeszcze drzewa nie wzrosły, a już wycinają.

(Antoni Górecki)

### RÓŻNICA MIĘDZY PSAMI

Między psami, a psami jest wielka różnica,
Choć złośliwy, wart chleba ten, co trzody strzeże;
Lecz tych powinna dawno zabrać szubienica,
Co po pańskich pałacach zlizują talerze.

(Antoni Górecki)

### DO KAZNODZIEI

O jak mówiąc porusz asz każdego człowieka,
Gdy wszystek lud od twego kazania ucieka.

### ODPOWIEDŹ CHŁOPA

Lampy świecą się jak gwiazdy;
Widać na dworze pojazdy,
Przy dźwięku hucznej muzyki
Słychać wesołe okrzyki;
W pałacu radość się szerzy,
I dają ognia z moździerzy.
„Z jakiej te gody przyczyny?
Czy to pańskie imieniny?
Czy może jakie wesele?
Dlaczego gości tak wiele?
Chłopie! co za bal we dworze?"
„Nie wiem, odpowie w pokorze
Chłop odarty i wybladły. —
U nas codzień te kiermasze ,—
Pewnie piją zdrowie nasze".

(Ignacy Piotr Legatowicz)

### WZMIANKA O JUDASZU

Pan nasz skarbnik choć lubi pieniądze bez miary,
I rozmaite zawsze przedaje towary,
Na wzmiankę się Judasza jednak zaltretował:
„Jabym, prawi, nierównie więcej wytargował".

(Nikodem Muśnicki)

### NIEPRZYJACIEL ŻYDÓW

Pan lichwiarski jest Żydów przeciwnik zawzięty,
Pobożny gniew w nim tleje na ten lud przeklęty.
Lecz ilekroć Żyd przed nim pieniądze położy,
Pobożnie przypomina, że to lud był Boży.

(Nikodem Muśnicki)

### BISKUP I CHŁOP

Gdy dnia jednego biskup swój lud błogosławił,
Przytomny chłop kapelusz na głowie zostawił.
Wtem biskup rozgniewany gani to chłopowi;
Chłop zaś mu odpowiada: „Nic to nie stanowi,
Jeśli błogosławieństwo z dobrych rąk pochodzi,
Przez mój kapelusz przejdzie, nic on nie przeszkodzi".

(Matuszewski)

* * *

### NA URZĘDNIKA BEZ ZASŁUGI

Michał dostawszy urząd tak głosił przed światem;
„Niech mnie Bóg skarze, jeślim chodził za tem!!"
Twój postępek, Jan rzecze, tej prawdy dowodzi:
Bo kto się czołga, ten wcale nie chodzi.

### ODPOWIEDŹ WIEŚNIAKA

Ujrzawszy w mieście wieśniaka,
Wniósł Pan Starościc pytanie:
„Cóż tam na wsi porabiają?
„A głupców czy ciżba taka,
„Jak dawniej?" — Nie, Mospanie!
Rzecze wieśniak: od tej chwili,
„Jak pan tu obrał mieszkanie,
„Głupcy się u nas zmniejszyli".

(Ignacy Szydłowski)

### MAGNAT

Pewien z magnatów — słowem że magnat nie lada,
Co to i dobrze pije, lepiej jeszcze jada,
Chcąc użyć po obiedzie wieczornego chłodu,

Poszedł do ogrodu.
Gdy umysł jego rozkoszą się poił,
Tak sobie roił:

„Jak mnie to bawi ta tłuszcza tak liczna,
Którą tak trwoży każda zmiana polityczna.
Co do mnie, zdania nie zmienię,
Strawność żołądka wolę niż sumienie.
I każdy rozsądny mi przyzna,
Że owe bóstwo, ojczyzna,
Jest to tylko urojenie.

Bo gdy spoczywam pod tych drzew chłodem,
Gdy mi ta ziemia jak dawniej kwiat rodzi,
Co mi do tego, kto tam po niej chodzi,
I kto tam rządzi narodem!"

Wtem świnia co w pobliskiej kałuży leżała,
Gdy już dobrze wysłuchała,

Rzekła: Jasny Panie,
Słowo w słowo moje zdanie.

(Jenerał Fr. Morawski)

*Podał do druku* B. M. DŁUGOSZEWSKI

# KRONIKA TEATRALNA

## Wodewil uspołeczniony

„Stary Teatr" w Krakowie — *„Traktor i dziewczyna"* (czyli „Cylinder i serce") wodewil *T. Kwiatkowskiego, W. Macha i St. Otwinowskiego.*

Wodewil jest formą właściwie czarującą — powinien być naiwny jak bajka i mądry jak bajka, lekki i ważki, łatwy a zmuszający do myślenia. Ze słowem wodewil kojarzą się czasami smaczki staroświeckie; wodewile pisano w „dobrych, dawnych czasach...", toteż ci, którzy są tego zdania o dawnych czasach wzruszają się samą nazwą: wodewil — że to niby i formalnie i treściowo tak przyjemnie pachnie k.u.k. lamusem.

Autorzy „Traktora i dziewczyny" uważają jednak czas *współczesny* za czas dobry — oto założenie ich pracy. Ich decyzja wykorzystania „lekkiego" staroświeckiego rzekomo gatunku dla wypowiedzenia myśli aktualnej i postępowej jest decyzją z gruntu słuszną. Niedawno rozpoczęły się dyskusje nad wagą tzw. „lekkiej broni literackiej" w wojnie o nową myśl społeczną. Dyskusje nie rozwinęły się po prostu, ponieważ wiadomo wszystkim, że satyra jest w tej walce bronią równie godną szacunku jak poemat i że bajeczka filozoficzna może mieć wagę nie mniejszą niż filozoficzny dramat.

Wodewil Kwiatkowskiego, Macha i Otwinowskiego ma dać świadectwo takiej prawdzie a równocześnie ma zapełnić lukę we współczesnym repertuarze teatralnym. Tematem owej bajki scenicznej jest nie tylko „odwieczny problem" dziewczyny czyli serca — na scenę, w tekst, w problematykę sztuki wchodzi bohater dzisiejszych dobrych czasów... traktor, konflikt zaś i fabuła, naiwne jak bajka tyczą się spraw tak mądrych jak życie: ich sens i linię wytycza problem walki klasowej na wsi — na współczesnej polskiej wsi. Oto sens i waga „Traktora i dziewczyny": w Pstrękocinie, miejscowości zmyślonej, toczy się wojna nie zmyślona — lekki dialog mówi o sprawach ważkich — łatwa piosenka zmusza do myślenia o problemie kapitalnym.

„Traktor i dziewczyna" jest więc próbą godną troskliwej opieki — wyważa drzwi dotychczas zamknięte, jest bowiem *pierwszą* próbą tego rodzaju. Tym bardziej więc należy cenić jego blaski, gdy wiadomo, że każdy potrafi wyszukać dziurę w tekście, lub uderzyć autora znalazłszy pozór. Jedyny brak, o którym ostatecznie można by dyskutować to brak... pozytywnego bohatera (rzecz jasna w „formacie wodewilowym"). No tak, ale na ten brak cierpi jeszcze niemal cała nasza literatura.

Jeśli mowa o samym spektaklu, należy przede wszystkim zająć się samym meritum sprawy: jasnością, czy ostrością zarysowania głównego konfliktu. I tutaj można uczynić zarzut nieco dziwaczny — inscenizacja jest zbyt ładna, zbyt barwna, zbyt łagodna. Bogacz wiejski czy organista są zarysowani zbyt miękko — widz śmieje się z nich, jak z postaci komicznych, a nie jak z wzbudzających śmiech, wykpionych czarnych charakterów. Bogacz wiejski nie różni się wyglądem od innych chłopów — dla tego gubi się po trosze „klasowa wymowność" jego tekstu. Postaci wodewilu zostały przez autorów postawione jako typy a nie jako charaktery — tymczasem ich typowość zaciera się w powszechnej barwności i urodzie spektaklu. W bajce dobro i zło ma tylko dwa kolory: biały i czarny. Owa przeciwstawność jest regułą od której nie należy chyba odstępować. Gest, głos, charakteryzacja — wszystko to jest najkonkretniejszym elementem określenia typu. W „Traktorze i dziewczynie" przy znakomitym postawieniu postaci pozytywnych typowość strony przeciwnej nieco się zaciera, a wraz z nią zaciera się i sens konfliktu.

Wadą zasadniczą wodewilu jest jego talent muzyczny. On bodajże najwyraźniej przeczy intencji i sensowi sztuki — jest łatwą sklejką melodyjek w salonowo-ludowym stylu, ani ciekawych, ani świeżych. A tak — gatunku ideologicznie nowego nie można zdobić w zużyte stroiki niemal kabaretowego pochodzenia. Natomiast do największych zalet spektaklu należy zaliczyć grę czworga aktorów, których temperament, prostota i wdzięk sceniczny w znakomity sposób nadbudowuje się na tekście traktorzystów zakochanych w traktorach i dziewczynach, oraz dziewcząt zakochanych w traktorzystach i traktorach. Mowa tu o H. Kwiatkowskiej, H. Więcławównie, H. Cybulskim i K. Meresie. Reszta zespołu przeważnie bardzo poprawna.

**jb.**

„Okno w lesie" Rachmanowa i Ryssa w Państwowym Teatrze w Jeleniej Górze. Na zdjęciu Jerzy Sobieraj (Stariczkow) i Józef Tamski (Gribkow)

# TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

### LITERATURA

**Balzac.** Jaszczur. Przełożył i wstępem opatrzył **Boy-Żeleński.** Okładkę projektował **Ignacy Witz.** Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 291. i 5 nl.

---

W poprzednim 39 (252) numerze „Odrodzenia": **Louis Aragon** (przełożył **Artur Sandauer**): Rok 1939. — **Włodzimierz Domeradzki:** Wiersze robotnicze: Jak na barykadzie; My; Serce sercu. — Rysunki Adama Marczyńskiego. — **Tadeusz Kubiak:** Biwak pod świętym Jerzym. — Pablo Neruda w Polsce. — **Kazimierz Brandys:** Opowiadanie Pankrata. — **Pablo Neruda** (przełożył **Stanisław Ziembicki**): Pablo Neruda o Polsce. — **Stanisław Wygodzki:** Pieśń o życiu pozagrobowym. — **Fr. Olbrychski:** Czy historyczne dzieje Polski zaczyna rok 966? — **Stanisław Dzikowski:** Mądra dziewczyna. — **Jerzy Broszkiewicz:** Kształt miłości. — **Jerzy K. Mikke:** Tajemnica bojkotu Słowackiego. — **Dr Pamfil:** Awantura o nagrodę. — **Carlo Bianchi:** A. K. Jemolo laureatem nagrody „Viareggio". — **xy:** To kultura! — **Wojciech Natanson:** Warsztat wielkiego pisarza. — **Zygmunt Fijas:** Historyjka dydaktyczna. — Kronika kulturalna: **Stefania Podhorska - Okołów:** Grafika Józefa Hollaka; **igs:** Wystawa instrumentów muzycznych; Polskie zespoły ludowe pieśni i tańca; Nowy teatr w Warszawie; Kongres Pen-Clubu w Wenecji; Polonica Czechosłowackie; Polska myśl demokratyczna w poezji; Nagroda Pen-Clubu; „Estrada koncertowa"; Międzynarodowa wystawa plakatów. — **R. Krzywiec:** Fale odsłoniły ślady dawnej osady. — Taśma „z deszczem": **Kontra-typ:** Potępione, bo postępowe. — Kronika teatralna. — Fraszki: **W. L. Brudziński:** Reklamiarzowi; O pewnym pisarzu; Wiersze i poezja. — Korespondencja: **Mieczysław R. Frenkel:** Zabawa w zielone". — Grafika: **Jan Białostocki:** Jubileusz Masereela. — Camera obscura. — 17 ilustracji. — 8 stron.

**Balzac.** Kawalerskie gospodarstwo. Przełożył i wstępem opatrzył **Tadeusz Żeleński (Boy).** Okładkę projektował **Mieczysław Piotrowski,** Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 320.

Biblioteczka Świetlicowa KCZZ. Nr. 30. **Roman Bratny.** Pobita kra. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 22 i 2 nl.

**Pola Gojawiczyńska.** Powszedni dzień. Wydanie trzecie. Okładkę projektował **Eryk Lipiński.** Poznań, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, 1949; str. 173 i 3 nl.

Biblioteczka Świetlicowa KCZZ. Nr. 23. **Herman Heijermans.** Nadzieja. Warszawa, „Książka i Wiedza", 1949; str. 68 i 4 nl.

**Mieczysław Jastrun.** Mickiewicz. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949; str. 410 i 6 nl. i 24 knl. ilustracyj.

**Wanda Karczewska.** Notatnik liryczny. Rysunki **Wacława Taranczewskiego.** Bydgoszcz „Arkona", 1949; str. 63 i 1 nl.

**Władysław Kowalski.** Rodzina Mianowskich. Powieść. Oprawa graficzna **Tadeusza Gronowskiego.** Warszawa, Wydawnictwo Ludowe, 1949; str. 290 i 2 nl.

**T. Leontiewa.** Przyszłość należy do nich. Powieść. Przekład z rosyjskiego **A. L. Gniadowskiej.** Okładkę projektowała **Wanda Wernerowa.** Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949; str. 332 i 4 nl.

**Jack London.** John Barleycorn. Powieść. Przekład autoryzowany **Antoniny Sokolicz.** Okładkę projektował **Jerzy Srokowski.** Poznań, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, 1949; str. 225 i 1 nl.

**Daphne du Maurier.** Generał jego Królewskiej Mości. Tłumaczyła z oryginału angielskiego **Małgorzata Szercha.** Poznań, Zdzisław Gustowski, 1949; str. 380 i 4 nl.

Biblioteka Romansów i Powieści. Nr. 30. **Multatuli.** Maks Havelaar. Tłumaczyła **Br. Neufeldówna.** Warszawa, „Czytelnik", 1949; sr. 61 i 3 nl.

# CAMERA OBSCURA

## CO TYDZIEŃ NAGRODA 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura".** Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek, i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16,** Dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 2000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

---

*Nagrodę zł. 2000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Artur Marya Swinarski, Warszawa - Praga, Zygmuntowska 14 m. 48, za wycinek z „Gabinetu osobliwości" tygodnika „Szpilki".*

### BUMERANG

Bumerang jest to broń o szczególnych właściwosciach. Wyrzucony z ręki zatacza w powietrzu koło i jeżeli po drodze nie uderzy upatrzonej ofiary, wraca do punktu wyjścia, uderzając napastnika. W ostatnim numerze „Szpilek", komentator „Gabinetu osobliwości" cisnął bumerangiem w Marka Antoniego Wasilewskiego:

*JAN WILKOŁAZ*

*Z okazji 200-ej rocznicy urodzin Goethego ktoś żyw zabrał się do tłumaczenia jego wierszy na polski. Dwóch kilku wartosciowych przekładów pojawiło się na łamach naszej prasy tyle tanaety, że nieszczęsny Olimpijczyk skonałby powtornie gdyby mógł zdać sobie sprawę z rozmiarów klęski.*

*Niejaki p. Marek Antoni Wasilewski wyszedł również z założenia, iż hołd pamięci Goethego nie byłby pełny, gdyby zabrakło w nim jego (t.j. Marka Antoniusza) wkładu. Wiedziony tymi szlachetnymi ambicjami ogłosił na łamach „Dziś i Jutro" (Nr. 36) następujący przekład „Mailied":*

*PIEŚŃ MAJOWA*

*Jaki wspaniały*
*Zda mi się świat!*
*Jak świeci słońce,*
*Śmieje się kwiat!*

i t. d. aż do końca przekład Wasilewskiego. Nie przedrukowujemy przekładu, ponieważ nie nadaje się, naszym zdaniem, do „Camery". Nadaje się natomiast do „Camery" komentarz ob. „m":

*Cudne! Dorobić tylko jakąś (wpadającą w ucho) melodyjkę, a będzie przebój na miarę „Graj, skrzypku, graj", albo „Umówiłem się z nią na dziewiątą".*

Nie trzeba dorabiać melodyjki! Melodyjkę dorobił już dawno niejaki Schubert i odtąd ilekroć jesteśmy w nastroju pogodnej radości śpiewamy sobie prostą i bezpretensjonalną piosenkę autora „Fausta" pod melodyjkę Schuberta, tak wpadającą w ucho, że spamięta ją od razu każdy, kto słyszał ją bodaj raz w życiu. Ob. „m" nie słyszał. Wolno mu. I wolno mu nie wiedzieć, że tłumacz, t. zn. Wasilewski zadał sobie trud zachowania rytmiki oryginału. Ale obywatelowi „m" nie wolno nie wiedzieć o tym, że nie wie, jeżeli pragnie nam oszczędzić tak zabawnego widowiska, jakim jest: szydzący ignorant.

### DLACZEGO „KAMENA" NIE MOŻE NADĄŻYĆ?

W kwartalniku „Kamena", redagowanym przez Kazimierza A. Jaworskiego, Kazimierz A. Jaworski pisze:

*„KAMENA" ukazując się rzadko nie ma po prostu możności wypowiedzenia się w sprawie poważnych wydarzeń rozgrywających się w Polsce (powstanie jednej wielkiej partii robotniczej) czy na świecie (walka o pokój — kongresy). Ale nie potrzebuje chyba legitymować się całą swą przeszłością, w której niedwuznacznie dawała wyraz, że stosunek jej do tych rzeczy może być tylko jak najbardziej pozytywny. Tak samo trudno „Kamenie" nadążyć za wielkimi naszymi rocznicami (Mickiewicz, Słowacki, Chopin) i uwzględnić je wszystkie w materiale, który zresztą w piśmie tego rodzaju ma charakter specjalny.*

Cieszy nas to bardzo, że stosunek „Kameny" do „tych rzeczy" może być tylko jak najbardziej pozytywny, niemniej nie rozumiemy dlaczego kwartalnik literacki nie może nadążyć za wielkimi naszymi rocznicami i uwzględnić je wszystkie w materiale. Nie rozumiemy, by po otwarciu „Kameny" — zrozumieć. Ostatni numer „Kameny" posiada 76 stron druku. Zgadnijcie, ile stron zajął pod swoje utwory i tłumaczenia Kazimierz Andrzej Jaworski? — Czterdzieści osiem stron! Nie licząc artykułu Wacława Gralewskiego o... Kazimierzu Andrzeju Jaworskim i wiersza... Marka Adama Jaworskiego. Nic dziwnego, że dla Mickiewicza nie było miejsca. Owszem dwie stronicz-ki, zdawkowe, nic nie mówiące. Cóż, gdy Jaworski zaczął krążyć, to Mickiewicz nie mógł zdążyć...

Ale u nas miejsca nie brak. Rok temu drukowaliśmy w tym miejscu poezje Marka Adama Jaworskiego, prosimy Kazimierza Andrzeja...

Wyjątek z dziesięciostronicowego poematu „Islandzki mech":

*W NAMIOCIE*

*Wiatr nawalny do wnętrza natrętnie szturmował*
*i płótnem niecierpliwie targał.*
*W namiocie pochyliła się nad głową,*
*nad wargą warga.*

*Nucił piosnkę na przekór wiatrowi zły „prymus"*
*stwarzając przytulności pozór.*
*A noc na próżno sobie zadawała przymus*
*i biały był jej dozór.*

*I rzekła Ingeborga do mnie czy Ingryda*
*w pieszczotach czyniąc przerwę:*

I nam, jak Ingebordze czy Ingrydzie, pora w pieszczotach uczynić przerwę... Chcielibyśmy następny numer „Kameny" otworzyć z nadzieją, że to nie będzie „Kamena Obscura".

### SOCJALIZM W PRAKTYCE...

Pod takim tytułem zamieszcza wychodzący w Polsce „Głos Anglii" następujące rozważania swego korespondenta z Londynu:

*Kiedy przyłączyłem się do ogonka, na jego czele stała posługaczka jednego z naszych sąsiadów. Tuż za nią zauważyłem pewną zubożałą hrabinę, a za nią młodą żonę lekarza. Następnie stała żona emerytowanego admirała, potem kilka innych nieznanych mi kobiet i wreszcie ja sam, jedyny mężczyzna błogosławiony między niewiastami. Nie mogę powiedzieć, aby w ogonku panowała swobodna i ożywiona atmosfera, ale sam fakt, że tyle rozmaitych osób należących do tak różnych klas społecznych stało w tym samym szeregu, aby kupić te same artykuły, był, jak mi się zdaje, doskonałą ilustracją rewolucji społecznej, jaka się dokonywuje w Anglii.*

Zdarzają się „ogonki" i u nas. Zaraz podnosi się krzyk w prasie, „Mucha" rysuje „kolejkę" przed Centralą Drzewną, „Express" piętnuje winowajców, Centrale Handlowe usprawniają dystrybucję... Ale nie zdarzyło się jeszcze nikomu z nas mierzyć osiągnięcia rewolucji... długością i składem osobowym ogonków. Miejmy nadzieję, że prawdziwa rewolucja społeczna w Anglii — nie ta z „głosu Anglii" — również znajdzie inne dowody na to, że nadeszła.

### EPIZOD WRZESNIOWY

Tadeusz Peiper: „Z epizodów wrześniowych", „Dziennik Literacki", Nr 34 (129):

*Papierowe paski! Mam u siebie tylko papier odpowiednio gruby: są NA NIM WYRYSOWANE DWA moje portrety, są wyrysowane pastelowymi kredkami ręką WYBITNEGO ARTYSTY, PRZYJACIELA MOJEGO I TOWARZYSZA walk o nową sztukę — ręką STANISŁAWA IGNACEGO WITKIEWICZA. Postanawiam Z TEGO PAPIERU SKORZYSTAĆ. Wyjmuję go z ram, TNĘ NOŻYCAMI. Wkrótce leży u moich stóp jedno oko, jedno ucho, nos oderwany od reszty twarzy.*

*Z mąki wyrobić papkę i paski nalepić. Cóż, kiedy na szkle nie chcą się trzymać. Przekonany, że to wina mojej niezręczności, biegnę do dozorcy domu, aby przyszedł mi z pomocą. Ze smutną satysfakcją widzę, że i on nie może podołać zadaniu. Papier spod portretów—nie nadaje się.*

*— E, co się dużo ciapkać. Cza kupić papir, jak się paczy. Czynaście groszy i już.*

*— Nie mam trzynastu groszy.*

*Swiecą przede mną oczy, które mi mówią, że nie rozumieją.*

Tym razem nasze oczy mówią to samo. Jakto? Czy dla obrazu Witkiewicza nie należało raczej poświęcić szyby... albo własnego jakiegoś dzieła?

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn. 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-80290 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"